

ŚWIAT

Nr 6
12. II 1938
CENA 1 ZŁ



Lidia Wysocka jedna z czołowych przedstawicielek młodego pokolenia aktorskiego, odniosła sukces w radjo (w drukowanym w naszym piśmie cyklu powieściowym M. Kuncewiczowej)
Fot. Halina Zalewska

w numerze

L. CHRZANOWSKI
PREMIER HORTH
W POLSCE

■
POŁÓW PERE

■
MASSIMO BONTEMPEL
DUSZA LUDZKA W BARZ
(n o w e l o)

■
Z. NORBLIN-CHRZANOWSKI
NOWE CZASOPISMA
ARTYSTYCZNE „NIKI

■
AUGUST ZAMOYSKI
O RZEŹBIENI

■
M. KUNCEWICZOWA
KOWALSCYSIĘODNALEŻ

■
ŚWIAT KSIĄŻKI, KRONIKI
LITERACKA, FIL

W tym numerze kupon
ulgowy do Teatrów: M
lickiej, Wielka Rewja i «8.1



Miniatura odnaleziona na Węgrzech w posiadaniu hr. Stefana Csáky, który pochodzi z rodu Bathorych (w prostej linii — z siostry Stefana Báthorego) Miniatura zrobiona za życia króla Batorego.

Hr. Csáky jest szefem gabinetu J. E. Ministra Spraw Zagr. Kánya i będzie w Warszawie.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXIII Nr. 6 12. II. 1938



Tablica pamiątkowa w Budapeszcie ma następujący napis:

W tym domu zamieszkiwał od 9 listopada do 27 listop. 1848 roku

GENERAL JÓZEF BEM
Syn Polski, Bohater Węgier
który umarł w Turcji.

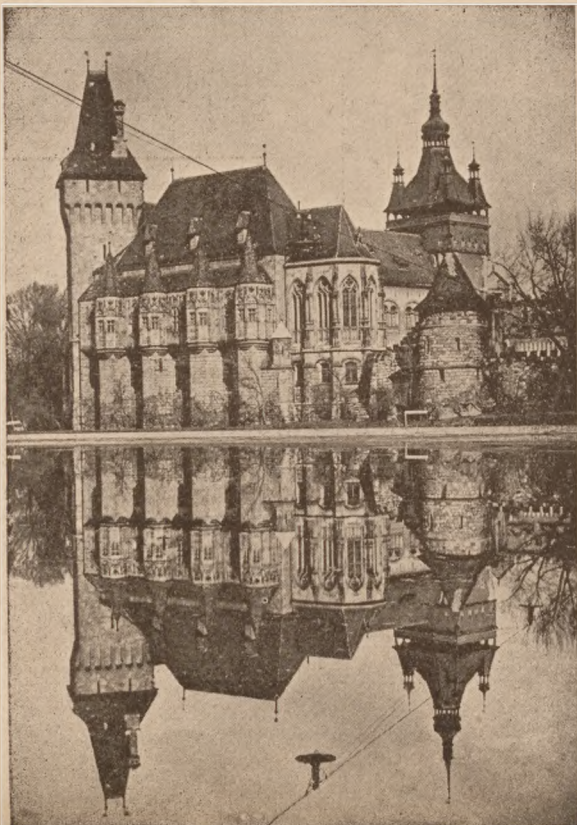
Jego pamięci postawiło Stowarzyszenie Polsko - węgierskie w roku 1926

Stefan Batory, król polski i książę siedmiogrodzki założył w Koloszarze w Siedmiogrodzie wyższą szkołę, z której powstał później uniwersytet węgierski. W dwa lata później 1583 r. założył on seminarjum, które otrzymało nazwę im. Batorego.

W r. 1933 t. j. w 400-letnią rocznicę urodzin Stefana Batorego, budynek seminarjum otrzymał piękny pomnik swego założyciela. Piękna ta rzeźba wyszła z rąk artysty węgierskiego Gabriela Vágó.



Zamek Vajda Hunyada w parku miejskim w Budapeszcie



Muzeum Sztuki Nowoczesnej





Regent Horthy

Przybycie do Polski regenta Węgier admirała Horthy podkreśliła dawną tradycyjną przyjaźń, łączącą Polskę i Węgry. Przyjaźń ta przekracza miarę politycznych konfiguracji. Leży ona niejako we krwi. Aby witać radośnie reprezentanta Węgier nikogo w Polsce nie należy przekonywać. Nawet wojna światowa, która interesy Węgier i Polski umieściła po dwustronach walczących, nawet wojna światowa nie unicestwiła tych nici sympatji, jakie łączyły od wieków oba narody. Tradycje tej sympatji umieszczone są głęboko i wiecznie żywe.

A przyjaźń polsko - węgierska przeszła już niejedną próbę. Ale najżywiej w pamięci współczesnych utrwaliła się okazana przez Węgry gotowość niesienia pomocy Polsce w roku 1920-ym, ułatwienie transportowania amunicji i broni. Przyjaźń Polski nie pozwoliła nam podpisać i ratyfikować bolesnego i tragicznego dla Węgier traktatu w Trianon.

Dziś skonsolidowane, wzmocnione Węgry, nie są już tem bezradnym państwem okrojonym przez wojnę. Nie są narodem tarmoszonym przez wstrząsy współczesne, przez rozbitcie społeczne i wrogie, obce siły zewnętrzne. Węgry pod kierownictwem, pod rządami re-

REGENT HORTHY W POLSCE

genta okrzepły, zaprowadziły ład i mocne wolą świadomego rządu, stały się znowu ważkim czynnikiem w polityce międzynarodowej. Zbliżenie się dwu państw tak sobie bliskich uczuciem, jak Polska i Węgry to w życiu i grze międzynarodowej może być czynnikiem wielce potężnym. Polska może w wielu wypadkach ułatwić Węgom wejście w ściślejsze kontakty z państwami nie zbliżającymi się do Węgier z rozwartymi ramionami przyjaźni. Sytuacja naddunajska wymaga dziś wielu wyjaśnień, uproszczeń i konkretnych, szczerych

wypowiedzi. Polska bezpośrednio nie jest zaangażowana w tych ewentualnych pertraktacjach, rozmowach czy nawet sporach. Może przeto w razie potrzeby odegrać ważną rolę przyjaciela, który unikając pośrednictwa dobrą radą mógłby zwrócić uwagę na istotne największe niebezpieczeństwo. Pobyt regenta Węgier w Polsce uwiłdoczni dostojnemu gościowi serdeczne uczucia, jakie żywi naród

polski do Węgier. Niewątpliwie zarówno regent Horthy, jak i towarzyszący mu politycy, zdadzą sobie doskonale sprawę, że na takim, fundamencie, można budować ewentualną współpracę. Patrząc w serca narodu polskiego węgierscy mężowie stanu uplastycznią sobie niechybnie jak silną może być ta przyjaźń, jak wspaniale na niej wesprzeć się będzie mogło dzieło pokoju. Pokoju tak niezbędnego Węgom i Polsce w dalszej wewnętrznej pracy krzepnięcia i kulturalnego rozwoju obu państw.

L. Ch.



Min. Spr. Zagranicznych Kanya



Dunaj nocą — efekty świetlne

P O Ł Ó W

Dwa węzły

Z tym węzłem warszawskim, to wogóle dziwna historia. Coś się płacze na szynach. Coś straszy. Coś komplikuje.

Był węzeł gordyjski, kiedyś, dawno. Ludzie się głowili, męczyli, pytali Pytji. Węzeł przeszedł do historii. Oleś Macedoński też, bo przyjechał, ciachnął i przeciął. Nie było węzła. Oleś Macedoński więcej jest z tego znany, niż ze zwycięstw nad Darjuszem.

Węzeł warszawski też się tak jakoś zaplątał, że aż stanął. Ale nie koniec na tem. Ciekawscy szukają przyczyn, winnych, środków zaradczych. Dowiedzieliśmy się więc, że patrijotyczny węzeł zbuntował się przeciw maszynierji angielskiej. Później w jednym ze sformułowanych zarzutów zaznaczono, że były błędy w montowanych w Polsce silnikach zespołu taboru elektrycznego. Przypuszczenie to było możliwe, bo w informacjach dawanych w Sejmie i prasie oficjalnie informowano *ile* silników przeznaczonych dla węzła warszawskiego jest pochodzenia krajowego, a *ile* zagranicznego.

A tymczasem... związek przedsiębiorstw elektrotechnicznych w wyjaśnieniu przesłanym przez swe prezydjum do „Kur. Warszawskiego“ stwierdza, że „polski przemysł elektrotechniczny nie projektował, nie montował i nie wykonywał ani jednego silnika trakcyjnego dla węzła warszawskiego“.

Coś się w tym węzle płacze. Bo jeżeli prezydjum stwierdza, że nie było ani jednego silnika krajowego, a na konferencji prasowej mówiono dziennikarzom *ile* było silników krajowych, a *ile* zagranicznych, to nie-tylko węzeł stanął, ale ktoś tu się zaplątał! Może zresztą ten słuchający dziennikarz, może radjo, może Sejm?

Trzeba nietylko uruchomić węzeł elektrycznie, ale i rozplątać, gdzie powstał ten supelek. Dziś to już jest dużo łatwiej — nie trzeba nawet Aleksandra Macedońskiego.

Cocktail — polityka

Carlo został odwołany. W tym samym tygodniu, kiedy opuścili swe stanowiska von Neurath, von Pappen, ustąpił również Carlo.



Carlo? Tak Carlo, popularny, znakomity, taktowny, uprzejmy barman Ligi Narodów.

Carlo znał gusty dyplomatów. Wiedział co komu podać. Wiedział, który dziennikarz z którym współpracuje, a kto czym jest konkurentem. Wiedział kto z kim flirtuje i gdzie jaka komisja obraduje. Która ekscelencja poluje na popularność, a której nie należy się narzucać.

Carlo wiedział, kto komu funduje, kto za kogo płaci, wiedział wiele, przyrządzał świetnie cocktaile, wykonywał zlecenia. Carlo był wzorowy. Nastal jako antyfaszysta, a przyjaźnił się z dziennikarzami włoskimi. Bo Carlo był włochem. Dziś na życzenie rządu włoskiego opuścił bar Ligi. Znanca dyplomatów i cocktail'ów, Carlo znakomity barman, niby szary człowiek zastosował się do linii politycznej swego rządu, — opuścił Ligę Narodów.

Biedna Liga. Już teraz to napewno biedna. To nawet zupełny zmierzch. Podobno tylko jeden rząd w tej sprawie zgłosił swe désintéressement.

Dyplomowani abisyńscy

Wobec trudności technicznych, jakie rząd włoski spotyka na terenie Abisynji wobec braku odpowiednio wyszkolonych fachowców postanowiono stworzyć dwie kategorie fachowców. Ci którzy ukończyli wszystkie studia otrzymują tytuł „dyplomowani fachowcy“, ci zaś, którzy mają tylko część studiów, lub inny fach — otrzymują „tytuł fachowy“. Dzięki temu wielka ilość felczerów stała się doktorami. Kopaczy — wiertniczymi. Mularzy — budowniczymi. Zdunów

P E R E Ł

— rzeźbiarzami. Podobno ogromnie to ułatwiło Włochom administrowanie Abisynją. Podniosło to statystyczną ilość fachowców i zawodowców, wogóle poziom wyszkolenia i przygotowania. W międzyczasie tylko podobno zwiększyła się ilość katastrof i zawaleń mostów i budynków. *Nie jesteśmy tylko pewni, czy działo się to w Abisynji, czy gdzieindziej...*

Wszystko z miłości...

Są kraje, które nie lubią, gdy studenci politykują. Są inne, które urabiają opinie młodych akademików. Taką ideową propagandę uprawia się w Niemczech. Rzecz jasna, iż studentom zaleca się tematy państwowej polityki i zamierzeń do przestudjowania, zbadania. Te tematy zalecane młodzieży wykazują, które zagadnienia państwo uważa za tematy swej polityki przyszłości. Cóż więc zaleca się studentom niemieckim jako tematy do studjów i debat politycznych?

Czasopismo akademickie „Bewegung“ publikuje te tematy. Są one istotnie interesujące. Oto garść tytułów: „Stosunki na wschodzie niemieckim“, „Praca na pograniczu wschodnim“, „Walka Niemców na wschodzie o utrzymanie swej narodowości“, „Polityka wschodnia wielkich Niemiec“, „Historja osiedla na wschodzie“, „Metody walk narodów słowiańskich“.

Wystarczy. Oni te tematy mają zalecone. Oczywiście tylko z miłości platonicznej i naukowej do... wschodu.

Polscy miłośnicy zagadnień gdańskich nie otrzymują podobnych zaleceń. Widocznie i w polityce bywa niezdrowa miłość i niezdrowa ciekawość.

Niszczyć, niszczyć...

Poruszając zagadnienie naszej kultury publicznego współżycia, świetny feljetonista i wybitny pisarz Kornel Makuszyński takie bolesne uwagi czyni w Kur. Warszawskim“:

„Niszczyć, niszczyć, wszystko niszczyć! Małpią modą, chytrze, łajdacko, złośliwie. Dyrekcja tramwajów poprzylepiała na słupkach dla powszechnej wygody tekturki z rozkładem jazdy autobusów. Jak Warszawa długa i szeroka, pozdzierano je, porżnięto, zamazano, lub wyrwano razem z ramką. Naj-

większemu łapserdakowi na nic się nie przyda kawałek tektury, ale pawian nie może znieść spokojnie myśli, że się to przyda komu innemu. Podobny temu zwierzak znieważa książkę wziętą z czytelnicy, lub publicznej biblioteki, nasmaruje na niej kretyńskie uwagi, lub w radosnym zapamiętaniu poobdziera stronicę. Zepsują ci skrzynkę do listów na drzwiach i napiszą niechlujne słowa na wizytowym bilecie. Ba! Pytam szofera nowego pięknego auta, czemu niema w nim popielniczki? A dlatego niema, bo ukradziono mu już sześć takich zmyślnych przyrządów, które się za pomocą smoczka przyczepia do szyby. Okazuje się z pięknych i rzewnych opowieści panów lekarzy, że znikomy ten i wcale nikiemny przedmiot budzi pożądanie dziwnego pochodzenia pacjentów. A pan minister jest szerożony, że mu giną lustra i ko zdumiony, że mu giną lustra i ko adamszkowe zasłony. Niech dziękuję własnemu szczęściu, że lokomotywa ocalała, dlatego jedynie, że cokolwiek jest za ciężka“.

Potęga i władza

Nad ranem w niedzielę gdy z licznych bali, dancinów i barów wracali zapóźnieni, nieco senni, nieco niewyspani goście, dumnie i niepewnie kroczył Nowym Światem w cylindrze na bakier przyjaźnie uśmiechnięty samotnik. Nóżki wyczyniały esy-floresy. Laseczka trafiała raz w trotuar, raz w niebo. Gość nieco hałasował. Nie zanadto. Od czasu do czasu coś wykrzykiwał.

Niech żyje Ozon!

Niech żyje władza!

My to potęga!

Niech żyje Ozon, sto lat, sto lat! Przed rozśpiewanym gościem wyrósł nagle granatowy „pan władza“. Wkrótce rozweseleni przechodnie usłyszeli taki djalog.

— Proszę niech pan nie hałasuje.

— My to władza! my to potęga, niech żyje...

— Dobrze, dobrze, ale niech no pan bez hałasów wraca spokojnie do domu.

— Ddodomu? To cóż to okłamało nas, tto nie jesteśmy taką potęgą?!

I zawiedziony, zgaszony poszedł w stronę domu pomrukując „to my to potęga? a władza to nie my?“

Cena człowieka

Pewien uczony amerykański po długich kalkulacjach i badaniach statystycznych wyliczył, iż podczas wojny w okresie 1914—18, aby zabić jednego żołnierza trzeba było wydać 25.000 dolarów. Ponieważ ustalono, że wojna światowa pochłonęła 10 milionów ofiar wystarczy przeprowadzić tę tragiczną arytmetykę, aby otrzymać zawrotną sumę 25 miliardów wydanych tylko na pociski i kule!

Tak, cena człowieka w tym obliczeniu jest dość pokaźna i to cena hurtowa. Nikt nie sądził na początku wojny, iż ludzkie mięso armatnie jest tak drogie. Zważmy jednak, że jest to cena człowieka zabitego. A co kosztują wydatki pośrednie? zrujnowane ogniska, warsztaty? A ileż jest strat i ofiar bez ceny, łzy matek i żon, wykołone dzieciństwa!

Kometa, to kosztowna, tragicznie rujnująca iluminacja — a jednak mimo wszystko, zjawiająca się co jakiś czas, jako memento głupoty i zbrodni ludzkości.

Pokwitowanie kabotyństwa

Pewien aktor — kabotyn odrzucił rolę w jednej z komedji Labiche'a. Gdy spotkał autora, zaczął mu uzasadniać, że nie mógł grać

*Naturalny środek
przeciw obstrukcji to Ziota
Przecyszczające Karpińskiego
paczka zł. 1,50. torebka 25 gr.*



postaci w komedji Labiche'a, on, który grał już tak wspaniałe role. Tu długo wyliczał Labiche'owi swe role i sukcesy. Gdy tyrada trwała już zbyt długo, Labiche przerwał ją nieśmiałym pytaniem: „Przepraszam, a jak się pan nazywa?“ Kabotyn zdębiał.

Kompromitująca katastrofa

W podziemiach Wieliczki, na słonem jeziorze zatonął prom. Katastrofa to nie straszna, nikt nie utonął, bo woda sięgała tonącym tylko do pasa. Kompromitacja jednak jest tym przykrzejsza, że katastrofa spotkała wycieczkę wyższych urzędników kolei niemieckich. Ładna turystyka! Słona kąpiel w ubraniu w lutym. Wśród tonących i zmaczanych dokumentów były i panie. Żony wysokich urzędników kolei polskich, niestety, zanurzyły się też dokładnie. Panowie po rycersku ratowali kobiety, ale słonej kąpeli nie dało się uniknąć. Wiceminister Kleiman na szczęście nie „dosiadł“ fatalnego promu. Notomiast nie uniknął tej niespodzianki dyrektor Polskiej Ligi Turystycznej, radca Szeli-chowski. Trzeba przyznać, że prom tonący w obecności samego dyrektora Ligi Turystycznej, to prom bezczelny!

Skończyło się więc na strachu, katarze, rozprasowaniu spodni, zniszczeniu bucików — nieszczęścia niema — ale nasi goście nie wyjadą zapewne z najświetniejszym wspomnieniem turystyki. Topić się z dyrektorem Ligi! coby było dopiero, gdyby na tym promie był tylko zwykły kierownik czy przewodnik. Mimo wszystko trzeba postawić niedyskretne pytanie, kto zawinił? prom? kierownictwo czy niesforni pasażerowie, co nadmiernie prom obciążyli?

„Oddaj mi puls“

Kiedy Labiche był już bardzo osłabiony, leczący go lekarz odezwał się: „Proszę niech mi pan poda puls“.

— Ale pan mi go odda, doktorze — wyszeptał ledwo unosząc głowę chory, którego nie opuszczał ani uśmiech, ani dowcip. Były to niemal jego ostatnie słowa.

Obywatel Zero.

„NIKE“ – NOWE CZASOPISMO ARTYSTYCZNE

Z przyjemnością powitać należy zjawienie się na naszym ubogim horyzoncie wydawniczym czasopisma specjalnie poświęconego polskiej kulturze plastycznej — „Nike“. Czasopismo to wydawane jest przez Instytut Propagandy Sztuki. Ukazał się właśnie pierwszy jego rocznik.

Piękna szata zewnętrzna, staranny dobór i wykonanie ilustracji oraz wysoki poziom artykułów — oto zalety nowego wydawnictwa, które zapewnić powinno bolesną lukę w polskiej kulturze artystycznej. Być może, że górny ton i wybitnie fachowe ujęcie większości artykułów w tym tomie nie predestynują go na lekturę dla szerokich sfer. Jest to raczej czasopismo *historyków sztuki dla historyków sztuki i dla artystów*.

Z pośród tak zwanych miłośników sztuki zainteresują się nim niewątpliwie ci wyjątkowi, którzy ze sztuką zżyci są bliżej i głębiej, i dla których stanowi ona przedmiot pierwszej potrzeby. Życzymy nowemu czasopismu, aby takich miłośników znalazło się w Polsce jak najwięcej. Jednak gorzkie doświadczenia lat ubiegłych wywołują pewne melancholijne wątpliwości. Ponieważ jednak „Nike“ subwencjonowana jest przez Fundusz Kultury Narodowej, przeto przypuszczać wolno, że żywot jej będzie trwalszy i że nie skończy się na tym pierwszym roczniku.

Pracując też osobiście w miarę sił i możliwości na niewdzięcznej niwie rozbudzania potrzeb artystycznych wśród warstw średnich w Polsce — zdaję sobie sprawę, że wydawnictwo na poziomie „Nike“ jest na jałowym naszym gruncie może narazie pięknym, ale nieco egzotycznym kwiatem. W stosunku do kultury artystycznej ogółu społeczeństwa wydawnictwo to wydaje się trochę zawieszona w próżni. Byłoby może bardziej celowe, aby Instytut Propagandy Sztuki w myśl swoich celów i założeń zapoczątkował wydawnictwo czasopisma artystycznego dostępniejszego szerszym sferom inteligencji. Jest to uwaga na marginesie, która może wywołać odpowiedź, że „krytyka jest łatwa ale sztuka tru-

dna“. To też nie mam zamiaru negowania zalet omawianego wydawnictwa, sądę tylko, że znalazłoby ono znacznie szersze koła odbiorców *za lat kilka*, gdyby w ciągu takich właśnie lat kilku kultura tych odbiorców celowo podniesiona została przez wydawnictwo *dostępniejsze, ukazujące się częściej niż raz na rok, i znacznie silniej związane z aktualnością życia artystycznego w Polsce*. W swej formie obecnej — skądinąd szlachetnej i pięknej — „Nike“ daje wielkie zadowolenie specjalistom. Czy to samo powie o niej tak zwany szary czytelnik — pokaże przyszłość.

Artykuły zawarte w pierwszym tomie „Nike“ mają często charakter interesujących i głębokich, ale cokolwiek oderwanych rozważań teoretycznych. Wojśław Molé w dłuższej rozprawie pod tytułem „Sztuka a Społeczeństwo“ omawia ciekawe to zagadnienie na przestrzeni wieków, rozpatrując znaczenie i stanowisko społeczne sztuki w starożytnym Egipcie, w Grecji, w starożytnym Rzymie. Rozważa też rolę sztuki w nowoczesnych państwach totalnych, zastanawia się dłużej nad stosunkiem sztuki do religii, oraz Kościoła do sztuki, i szczegółowo rozpatruje zależność sztuki od panującej chwilowo władzy — czy to będzie władza kościelna, czy władza imperatorów, tyranów, średniowiecznych książąt czy monarchów wieku oświecenia. Autor tego ciekawego studium kończy je konkluzją, że podstawą wszelkiej sztuki jest indywidualność artysty, że podporządkowanie jej komukolwiek czy czemukolwiek w sposób imperatywny nie dawało i nie daje nigdy pozytywnych rezultatów.

Michał Walicki omawia wystawę polskiej sztuki gotyckiej, która zorganizowana była w Ipsie blisko trzy lata temu. Stanowiła ona przełom w dotychczasowych pojęciach o polskiej sztuce średniowiecznej. Artykuł Walickiego precyzuje znaczenie tej wystawy, sposób jej organizacji i zasięg jej rezonansu.

Kazimierz Molendziński pisze o twórczości Józefa Chełmońskiego, omawiając specjalnie trzy jego

szkicowniki, należące do Muzeum Narodowego w Warszawie. Helena Blum poddaje analizie twórczość Władysława Skoczylasa, Juliusz Starzyński pisze o impresjonizmie, Józef Czapski o Cézanne'ie; znaczenie i wpływ tego mistrza rozważa inteligentnie Henryk Stazewski. Marja Twarowska daje charakterystykę stylu Tadeusza Kulisiewicza.

Ale ze wszystkich tych artykułów najciekawszy, najbardziej bezpośredni i żywy wydał mi się artykuł Augusta Zamoyskiego „O rzeźbieniu“.

Pomimo swej ścisłej rzeczowości artykuł ten zainteresować może każdego człowieka kulturalnego, choć trochę interesującego się sztuką. Jest on tembardziej ciekawy dla szerokiego ogółu, że przeważnie mało się wie o tem, na czym polega praca rzeźbiarza i jak się ją wykonywa. Każdy analfabeta artystyczny widział gdzieś kiedyś na łączce czy nad strumykiem siedzącego przed stalugami malarza. Ale ręczę, że żaden z nich nie widział nigdy rzeźbiarza podczas pracy. O tej to właśnie niezmiernie ciekawej pracy mówi znakomity rzeźbiarz, August Zamoyski — a mówi w sposób porywający.

Styl pisarski Zamoyskiego jest absolutnie indywidualny. Żeby już nie wychodzić poza zakres rzeźby, powiedzmy, że nie lepi on z gliny miękkich i rozciągliwych frazesów, tylko rąbie jak w kamieniu ostre i jasne prawdy. Rozwiewa wiele przesądów, rozpowszechnionych wśród miernot artystycznych i wmawianych t. zw. publiczności, dzieli się z czytelnikiem owocem swojego wieloletniego doświadczenia zarówno w sferze przemysłu, jak w dziedzinie czysto technicznej.

Artykuł Zamoyskiego może służyć za wzór tego, jak się powinno pisać aby naprawdę podnieść kulturę artystyczną społeczeństwa. Naturalnie na to żeby tak pisać — trzeba być samemu artystą o głębokiej kulturze, indywidualnością oryginalną i świetnym majstrem. Wydaje mi się, że wybrane fragmenty z artykułu Zamoyskiego które zamieszczamy obok, zainteresują każdego czytelnika.

CO AUGUST ZAMOYSKI MÓWI O RZEŹBIENIU

(fragmenty artykułu A. Zamoyskiego z I rocznika „Nike“*)

Uważam, że zasadniczą rzeczą w rzeźbie jest talent, który jest rzadszy, niż się zdaje.

Każda doskonałość składa się z całej mozaiki czynników, w rzeźbie najważniejsze są: umieć i widzieć, to jest ręka i oko.

Umieć: tego się trzeba nauczyć. Niestety uczelnie współczesne (Akademje etc.) z punktu ucznia zniekształcają. Sam fakt, że akademje przeważnie przyjmują uczniów tylko z maturą, to jest chłopców w wieku około osiemnastu lat, jest katastrofą. W tym wieku rzemieślnicza strona (ręka) powinna być ukończona, a nie dopiero rozpoczynana. W wieku lat 12 — 13 trzeba chłopca oddać do warsztatu kowala lub ślusarza. Wszelkie rzemiosło powinno być hermetyczne. To jest, że nikomu nie wolno dowiedzieć się, jak wygląda „B“, nim nie opanuje wiadomości „A“. Kto nie potrafi utrafić żaru żelaza, niech przez całe życie pozostanie przy miechu; *wiadomości nie wolno demokratyzować, to jest u przystępniać wszystkim, bo stwarza się czeredę balwanów pretensjonalnych, tę szaloną ilość średniaków*. Kto chce zostać rzeźbiarzem musi najprzód być skończonym kowalem (chociażby dlatego, że musi umieć sobie odkuć, odpłować, zahartować etc. dłutka i wszelkie inne narzędzia, których się nie nabędzie w handlu, jak noże kuchenne), aby żyć się z tym podstawowym materiałem, jakim jest żelazo i stal, opanować uderzenie młotka, działanie pilnika, robotę przy śrubsztaku. Następnie musi poznać stolarkę, żeby wiedzieć, co jest drzewo, różne drzewa, warsztat stolarski, żyć się jak najintensywniej z piłą, pilnikiem,



A. Zamoyski Kobieta stojąca
(bronz na stracony wosk)

*) Nie mogąc z braku miejsca zamieścić artykułu Zamoyskiego w całości, wybrałam z niego szereg najważniejszych fragmentów — zamieszczając je tu nie w streszczeniu, lecz w brzmieniu dostownem, dla świetnej jedności stylu i dosadności określeń. Ponieważ wybrane fragmenty nieszczęśliwie byłyby w swem oderwaniu zrozumiałe, połączyłam je tylko najkonieczniejszymi powiązaniem logicznymi które dla odróżnienia wydrukowane zostały drukiem drobniejszym (petitem). Podkreślenia kursywą w tekście Zamoyskiego są moje — chciałam zwrócić uwagę czytelnika na niektóre śmiałe, zupełnie zasadnicze myśli autora, wręcz sprzeczne z panującą dziś u nas „modą“.

Z. N. Ch.

ust, jeśli dobrodziej siekierą kolka nie zaciosze?

Naco rzeźbiarzowi matura, wogóle poco takie „nauki“ mądrym chłopcu? Spotykałem często mądrych analfabetów, a tylu głupich doktorów. Lepiej dobrze kopać rowy lub rąbać kamienie na szosie (mamy tak kiepskie drogi), niż źle modelować w glinie.

Rzeźbiarz przyszły musi przebyć ze dwa lata w kamieniołomach, poznać sposoby wydobywania bloków, manipulować nimi, poznać siłę łomu i wagi, łupliwość przeróżnych kamieni i granitów poczawszy od szpicowania i szramowania.

Dopiero będąc skończonym kowalem i kamieniarzem, poznawszy stolarkę, a mając wtedy około lat osiemnastu, wolno się dostać na pomocnika do warsztatu rzeźbiarza.

Ale w tym wieku ma się maturę, ma się przewrócone we łbie i dostaje do akademji z gliną w ręku, która całe życie trzymała dotychczas pióro, — a przed oczy modela żywego, kiedy dziś przeważnie w tym wieku nosi się już amerykańskie okulary na oczach, wymęczonych kuciem algebry zamiast marmuru, a za profesora ma się przeważnie takich, którzy myślą, że jednym uderzeniem młotka mogą rozbić bloczek bazaltowy.

■

Dalej omawia artysta techniczne tajemnice rzemiosła, wykuwanie dłutek — (sam ma ich przeszło tysiąc) — sposób prowadzenia dłutka, wreszcie przechodzi do używanych w rzeźbie materiałów. Wyjaśnia różnice zasadnicze, jakie zachodzą pomiędzy rzeźbą w drzewie a rzeźbą w szlachetnych kamieniach, zwłaszcza twardej, jak granity, dioryty i bazyalty. Pisze tak:

Najsmaczniejsze drzewa dla rzeźbiarza zostaną zawsze dąb, lipa, limba. Oczywiście drzewa do szlachetności marmuru i granitu porównać nie można, drzewa zawsze zostaną materiałem trzeciej klasy. Jest to materiał dla rzeźbiarza o smaku dekoracyjnym, drzewo bowiem nie wytrzyma nigdy polerów, staje się wtedy niesmaczną gałką toczoną, natomiast będzie tylko zawsze piękne w sznycie, co znowuż nie pozwala na wykonanie portretu lub aktu. Snycerstwo ni-

gdy nie było i nie będzie „wielką sztuką“ — *du grand art*. Samo to, że drzewo pracuje, pęka i wicherzy się, że nie mamy go w odpowiednich dość dużych wymiarach, że przeto zawsze z kilku części skleamy, że nie jest tak trwałe, że wieków i nawet dziesiątków lat na dworze nie pozostanie bez ujemnych zmian (czas natomiast w granicie robi zmiany dodatnie) — skazuje ten materiał, nadający się raczej do dekoracji i wnętrza, na drugie, bodaj trzecie miejsce i żaden rzeźbiarz kochający naturę i piękno ŻYWYCH kształtów ludzkich tego materiału nie zużyje, bo ten materiał nie daje dalszych możliwości wypowiedzenia się.

Granity, dioryty, bazalty — przeciwnie do drzewa — dopiero przez szlif i poler nabierają koloru. Granit się nie kraje, nie rżnie, ale dłutkiem zgniata, tłucze, umartwia. Odprysk będzie wprawdzie żywy, krystaliczny, ciepły w kolorze, jak oblany wodą, ale odpryskami fakturować powierzchnię to jest pewnego rodzaju uciekanie od ostatecznej pracy i skończoności. Jest to operowanie przypadkami. Może tak być traktowany szkic, piękny swą wrażliwością romantyczną. Ale skończyć, pchnąć do końca, — na tym terenie wykaże się dopiero mistrz, tak

jak się poznaje przyjaciela dopiero w trudnościach.

Reguła: drzewa polerować nie wolno, to jest ułatwianie, powierzchowne załatwianie sprawy. Kamienie i granity szlifować i polerować trzeba — i tem nie zamazać powierzchni jest wielką trudnością, ale i koniecznością.

■

W dalszym ciągu artykułu mowa jest o pilnikach oraz o innych sposobach szlifowania, mianowicie o kamieniach toczonych na młynku. Zamoyski stwierdza, że najwięcej się w tej dziedzinie nauczył od asyryjczyków.

Mówiąc o delikatnej pracy rozmaitych szpiców do marmuru i granitu, wspomina Zamoyski o tem, że przy ostatecznem wykańczeniu pracuje się małymi uderzeniami z szybkością wibratora (trzy do czterech uderzeń na sekundę). I dodaje:

W ten sposób nakłuwana się setki i setki uderzeń na przestrzeni jednego centymetra kwadratowego, tak że wreszcie zbija się tylko znikomy pyłek. W ten sposób można najdelikatniejszy modelunek i owale uzyskać o powierzchni prawie zupełnie już gładkiej. Aby zastąpić tę precyzyjną robotę, partacera używają w tym celu sztokhamra, który powinien być wykłety z każdego warsztatu rzeźbiarza, pracującego w szlachetnych granicach lub porfirach.

Sprecyzowawszy, co to jest sztokhamer — rodzaj uwielokrotnionego szpicca, który posiada około 50 szpiców na dwóch centymetrach kwadratowych, Zamoyski pisze:

Rzeźba robiona takim instrumentem nie stworzy żywej powierzchni, wibrującej i wystudjowanej na każdym milimetrze kwadratowym. Sztokhamra można używać do schropowacenia stopni schodowych, ale nie do wyszukiwania powierzchni policzka lub owalu wargi ludzkiej, w której są setki sferyczności. To się wydaje przesadą, bo tego niewprawne oko nie widzi, szczególnie w ciemnym granicie, ale proszę wziąć palec i przejechać się po wardze greckiej głowy lub dłonią po udzie antycznym i wyczuje się formy, których się nie widzi, ale które to robią, że ta noga jest tak cudowna, że ci mistrzowie poświęcali dnie i tygodnie, by skuć głębokość listka papieru.

Kto nie ma czucia w dłoni, niech weźmie antyczną rzeźbę do ciemnego pokoju i niech ją oświeci lampką elektryczną pod oczy, pod włos — i zobaczy wtedy niesłychanie falistą powierzchnię, wypracowaną na każdym milimetrze kwadratowym. Dlatego zalecam pracować w pełnym słońcu, pracownie są przesadą, kuć można tylko na dworze i w jaskrawym świetle. Kto zna Grecję i Włochy, zrozumie, że w tem świetle można było kuć i widzieć.

■

Tu wyznać muszę, że rady techniczne których znakomity rzeźbiarz udziela swoim widzom, narzucają się w sposób niezmiernie sugestywny w samych jego rzeźbach. Podczas wystawy zbiorowej dzieł Zamoyskiego w Ipsie w r. ub. przy oglądaniu tych rzeźb poczułam nagle nieprzepatą chęć dotknięcia ich ręką — do takiego stopnia finezja ich kształtu i doskonałość wykończenia nie dawała się ogarnąć samym tylko wzrokiem. Ponieważ jednak naogół niema zwyczaju oglądania rzeźb rękami, musiałam poczekać na odpowiednią chwilę, kiedy w sali nie było nikogo. Wtedy przesunęłam dłonią po policzku czarnej głowy Wierki, po jej kapryśnych ustach i zabawem, groźnie nachmurzonym czółku. Ileż niespodzianych a najsubtelniejszych wklęsłości i wypukłości wyczuła ręka, których oko w półmroku szarego dnia zimowego dostrzec nie było w stanie!

■



August Zamoyski

„Ewa“ (bazalt)

Zamoyski mówi potem o oszustwach w dziedzinie stosowania materiałów rzeźbiarskich. Nieuczciwe firmy często zastępują szlachetny granit lub bazalt tak zwany belgijskim czarnym granitem, bo łatwiejszy w pracy, — jest on jednak bardzo nietrwały i choć narazie po spolerowaniu ma piękny hebanowy połysk, jednak po paru latach szarzeje i robi się włóknisty jak tektura. Bardzo ciekawe uwagi daje Zamoyski o sztucznej i naturalnej patynie. Stwierdza on:

...Pewnego rodzaju oszustwem jest patynowanie granitów i wogóle wszelka patyna. Rzeźby muszą być czysto zrobione i wciąż czysto utrzymywane, myte mydłem, zwilżane eterem i terpentyną, a potem codziennie przez służbę tarte skórką irchową lub dłonią. Nie wiem, ale mam wrażenie, że rzeźby egipskie i antyczne często były polerowane jedynie tarcem dłoni niewolników przez długie tygodnie.

Patynę czas robi, ale jeśli rzeźbiarz ją chce przyspieszyć, to oszukuje czas i myli się, jeśli myśli tem poprawić swą pracę. Poprawić ją może tylko dłutkiem, i jeśli zacznie paćkać rdzawymi wodami marmury, aby udawać w karraryjskim pentelikon, lub odwarem grochu w pirenejskim udawać różowy medjolański, to niech idzie raczej na pomocnika do antykwarza — co zresztą też dobrze umieć, choćby dlatego, by samemu nie dać się oszukać.

W dalszym ciągu pisze Zamoyski o punktacji i o modelowaniu w glinie lub gipsie. Uważa on, że nie wystarcza aby artysta rzeźbiarz był tylko projektodawcą rzeźby, a wykonanie jej w kamieniu pozostawiał pomocnikom. Zdaniem jego bardziej celowe jest kucie od razu w kamieniu. Zdaje się jednak, że w tym wypadku Zamoyski, który w sposób doskonały opanował technikę rzeźbiarską, żąda od swych kolegów rzeźbiarzy czegoś, co przekracza przeważnie ich siły i możliwości. Trzeba być nielada mistrzem aby zamiast uległej gliny decydować się na używanie do szkicowania kamienia, który wymaga oczywiście nie tylko znacznie większych wysiłków fizycznych, ale i znacznie pewniejszego oka i ręki. Pisze on z rozbrajającą prostotą:

Czyż nie jest prędzej i prościej zaraz wszystko ustalić w bloku kamiennym? Jakby podszedł człowiek do tego problemu, to zawsze się wykaże, że mądrzej i prędzej jest kuć wprost w kamieniu, nie używając gliny. Ja kuję portrety wprost z natury lub figury...

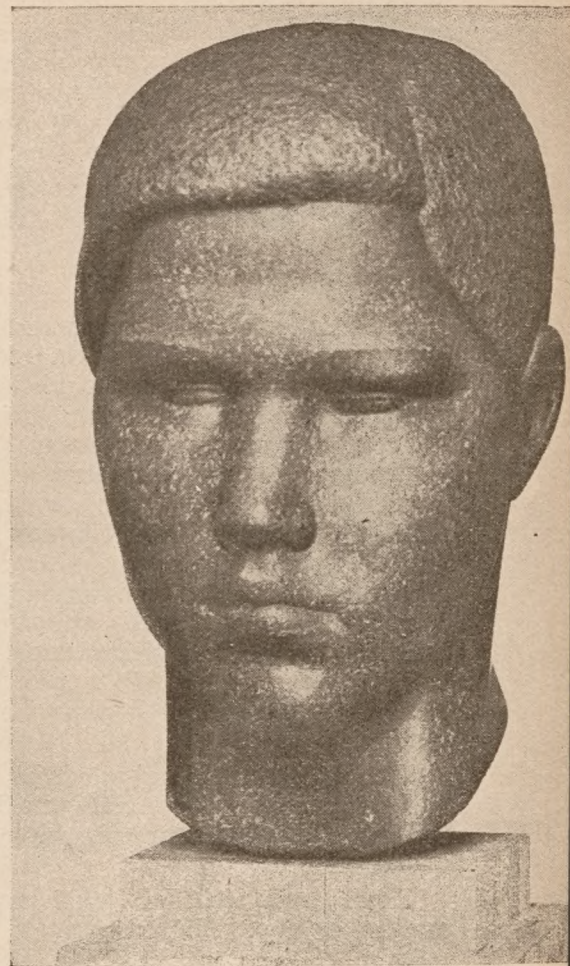
Do szkicowania w Polsce można używać dolomitu, który się świetnie nadaje, jako miękki i równy materiał. Stokroć wolę to robić w kamieniu, niż paprać się jak młynarz w gipsie — przecież jest to tak ohydnie tandeczki materiał, że w nim niczego pomyśleć nie można, przecie to materiał jak kreda, nie inspirujący człowieka podczas pracy do niczego, chyba tych którzy nie myślą i którzy nie mają żadnej lubości materiału. To tak jakby się wymagało od dobrego tenisisty, by grał trzepaczką lub od dobrego jeźdźcy, by siadł na krowie. Tylko pastuchy modelują w glinie i skrobią w gipsie. Prawdziwy pastuch kozikiem wyrzyna w drzewie.

Następny rozdział poświęca Zamoyski temu, co nazywa „widzeniem“. Podaje tu szczerze niezmiernie ciekawe rewelacje o swoim własnym wzroku. Okazuje się, że ten znakomity rzeźbiarz ma lewe oko dalekovidza, a prawe niemal niewidome. I z takim „aparatem naturalnym“ daje rzeźby, które zdumiewają doskonałością i nieomylnością ujęcia kształtów! Okazuje się, że w myśl znanego przysłowia „tylko zły tanecznicy przeszkadza rąbek u spódnicy“. Kto się urodził z wielkim talentem rzeźbiarza i kto latami pracy ten niezwykły talent udoskonalał — temu nie przeszkadza nawet taki drobiazg, jak... jedno oko niewidome! Tak jak nie przeszkadzała Beethovenowi głuchota przy komponowaniu dzieł najbardziej wstrząsających i doskonałych, jak Dziewiąta Symfonia.

Mówiąc o różnych właściwościach widzenia, które ulega u poszczególnych indywidualności znacznym odchyleniom, Zamoyski kończy swój niezmiernie ciekawy artykuł sformułowaniem swoich poglądów na sztukę, na stylizację, prymitywizm i t. p. Oto co mówi na ten temat:

Jest pewna ogólna (demokratyczna) norma widzenia i pewne odrębne wysoki. Które są matematycznie prawdziwe, nic mnie nie obchodzi, chodzi tylko, które są wybitniejsze spostrzeżenia z punktu widzenia sztuki. *Ja twierdzę, że żywa rzeźba będzie tylko ta, która będzie tak zrobiona, jak natura była zobaczona rzeczywiście.*

Dlatego tak głupie mi się wydaje, gdy ludzie mówią „zastosował się do materiału“. Jeżeli kto jest mistrzem rzemiosła, to w każdym materiale wszystko robi, to tylko kwestja zgrabnej ręki. Nie człowiek stosuje się do materiału (bo



August Zamoyski Głowa Wierki (granit)

wtedy wychodzą obrzydliwe stylizacje, „prymitywizmy“), tylko stosuje materiał do tego co zobaczył i co chciał i umiał oddać. *Prawdziwa wielka sztuka była zawsze i będzie tylko ta, która nie przeinaczyła, tylko najskrupulatniej to oddawała, co widziała, ale naturalnie wszystko zależy od tego kto patrzył. Wszelka stylizacja, upraszczanie — jest to nic innego, jak ułatwianie sobie pracy, powierzchowna obserwacja.*

Lepiej z całą uczciwością to robić co się widzi, choćby najprymitywniejszymi środkami, dlatego sztuka murzyńska dla autentycznych murzynów jest realizmem. W swym widzeniu złym czy dobrym najlepiej być tem, czem się jest — trudno.

Dlatego dla mnie Chrystusik podhalański jest najszczerzym realizmem widzianym przez rozkosznie szczerze nieudolnego artystę, ale okropnym mi się wydaje, gdy raptem człowiek z miasta zaczyna pisać wiecznie o „grulach“ — to jest nędza nieautentyczna, fałszywa inspiracja.

DUSZA LUDZKA W BARZE*)

Bar jest miejscem tragicznym. Tak jak w przed-sionkach pałaców królewskich, gdzie rozgrywają się tragedje antyczne, w barze niema na czym usiąść. Wszystko tam jest gładkie, uproszczone, kościste i si-ne. Ponad wszystkim wznoszą się potworne tępe gma-chy maszyn do kawy espresso, świecące bożki pełne ramion, i od czasu do czasu sapią i otaczają się dy-mami, jak trójnogi rozgniewanych pytji. A kiedy się uspokoją, wówczas w ich oszczerczych wypukło-ściach odbija się jak w zwierciadle ludzkość przera-zona i wychudła. Zapach spirytualji oszałamia at-mosferę; na półkach dziwaczne i podstępne kolory zatruwają horyzonty. Tam zderzają się niepokoje ludzkie i snują zdyszane prologi do nieznaných dra-matów.

Pewnego dnia w mej młodości wszedłem do baru, w którym były cztery maszyny do kawy espresso. Za każdą z nich sterczała chuda czarno ubrana dziewczyna.

Przedemną wchodził jakiś pan w meloniku, ja szedłem za nim. Zbliżywszy się do bufetu ów pan za-mówił:

— Pół czarnej.

Podchodząc za nim powiedziałem:

— Dla mnie też.

Pan w meloniku odwrócił się jak żmija i wrza-snął:

— Zabraniam panu posługiwać się mojem za-mówieniem!

■

Przez chwilę milczałem osłupiały.

Cztery dziewczyny za maszynami do kawy zako-chały się momentalnie w człowieku z melonikiem.

We mnie to wzbudziło zazdrość, więc mu wymie-rzyłem policzek. Cztery dziewczyny rzeczywiście zwróciły się odrazu w moją stronę i zakochały się we mnie.

Ale człowiek z melonikiem otworzył szeroko oczy, wznosił ręce do góry, i zaczął płakać.

■

Ogarnęło mnie bezgraniczne współczucie dla człowieka, który płakał w barze. Mocno obejmował twarz rękami, a łkanie podrzucało jego melonik. Czuję się do głębi skruszony i zasmucony i sam nie

*) Ze zbioru nowel „La donna dei miei sogni“.

Zamieszczona w poprzednim numerze nowela „Istota wol-ności“ wybrana została ze zbioru „Viaggi e Scoperte“; druko-wana w num. 3-cim r. b. nowela „Prawie o miłości“ wyjęta jest również z „La donna dei miei sogni“.

wiedziałem, jak mam go pocieszać. Ręce dziewczyny od naszej maszyny espresso postawiły na bufecie fi-lizankę kawy.

Ażeby się uspokoić, podniosłem filiżankę i zbli-żyłem ją do ust. Sparzyłem sobie wargi. Wtedy po-dałem ją człowiekowi z melonikiem, mówiąc ze skru-cha:

— Ta należy do pana, proszę.

Dziewczyna właśnie stawiała na marmurze dru-gą filiżankę, która chronologicznie należała do mnie.

Tymczasem głos człowieka z poza jego frenetycz-nych rąk łkał rozpaczliwie:

— Nie... nie...

Obecnie cztery dziewczyny zaczęły się wahać i wyrażały to wahanie rytmicznym pochylaniem czte-rech czarnych głów na czterech chudych szyjach. Ja ująłem drugą ręką drugą filiżankę. I tak trzymając dwie dymiące filiżanki, po jednej w każdej ręce, przemówiłem:

— Proszę pana, ja jestem nieokrzesane bydlę, a pan jest istotą anielską. Gdyby podłoga w tym ba-rze była trochę czystsza, rzuciłbym się przed panem na kolana. Proszę się zadowolić tem, że klęka przed panem moja dusza. Jestem zrozpaczony. Myślałem, że pan mnie obraził. Tymczasem to ja pana obrazi-łem. Powinienem być, wiem to dobrze, powinienem był zamówić sobie kawę samodzielnie, a nie posługi-wać się pańskim zamówieniem, niegodnie pana wy-zyskując. Czy dobrze zrozumiałem stan pańskiej duszy?

Człowiek odjął ręce od twarzy, która ukazała się porysowana strumieniami łez. Z poza tych lśniących strumieni odpowiedział:

— To mój los: być zawsze wyzyskiwanym przez wszystkich.

Westchnął i jęknął. Obie filiżanki w moich rę-kach zadrżały z niepokoju. Człowiek mówił dalej:

— Czuję to w każdej godzinie dnia i nocy, a chy-ba nawet we śnie. A nie chcę tego — krzyknął — nie chcę! Chcę być sam, chcę służyć wyłącznie sobie samemu! A tymczasem... Moja matka urodziła mnie poto, aby się pozbyć ciężaru, a potem się zawsze chwaliła, że mi dała życie. Od tego dnia, a raczej, je-śli mam być ścisłym, od dnia kiedy zacząłem cho-dzić o własnych siłach, za każdym razem kiedy idę ulicą mam wyraźne a nieznośne uczucie, że ktoś za-raz zaczyna iść za mną, aby posuwać się z mniej-szym wysiłkiem w tej fali powietrza, które ja roz-trącam. To mnie upokarza i złości. I to właśnie jest symbol mego życia. Od tego czasu, aż do chwili kie-dy pięć minut temu chciał pan sobie moim kosztem oszczędzić inicjatywy zamówienia pół czarnej. I tak będzie zawsze, czuję to, aż do samej śmierci; a umrę

nie poto, żeby odpocząć i żeby się oswobodzić, ale poto, żeby znów komuś ustąpić miejsca: niegodziwcowi, który zajmie moje mieszkanie, albo łobuzowi, który po mnie nastąpi w urzędzie. Bo ja, proszę pana, jestem urzędnikiem w Starostwie. A pan?

— Ja — odpowiedziałem z rumieńcem na twarzy — pisuję powiastki.

— Znam ten gatunek. Pan znowu wyzyska i mnie, i to nasze spotkanie, żeby napisać jeszcze jedną powiastkę.

— To możliwe. Pan jest, proszę pana, duszą wrażliwą, duszą niezwykłą, duszą nowoczesną, duszą symboliczną; pan pozwoli, że powiem poprostu — duszą. Więc uchybiłbym w sposób godny pożałowania obowiązkom mojego zawodu, gdybym się wyrzekł usiłowania zrobienia pańskiego portretu. Pan pozwoli, że w dowód wdzięczności ofiaruję mu tę filiżankę kawy, która inaczej wystygnie.

Człowiek z melonikiem naszkicował lekki uśmiech melancholijnej wdzięczności i wysunął swą prawą rękę ku mojej lewej filiżance.

Cztery dziewczyny z poza maszyn śledziły oczami i głowami jego ruch.

Ale nagle znieruchomiały ich oczy i głowy.

Bo oto i człowiek w meloniku nagle w pół drogi zatrzymał swoją rękę, którą wyciągał w stronę mojej filiżanki. Zatrzymawszy się, zsiniał na twarzy, potem straszliwie zbladł, a usta jego krzyknęły głosem zdławionym:

— Pan mi nie daje tej filiżanki żeby mi sprawić przyjemność; pan mi ją daje, żeby się od niej uwolnić, bo pan spostrzegł że człowiek który w barze trzyma w każdym ręku po jednej filiżance — jest śmieszny!

Na chwilę wszystko w barze ucichło. Napłynął jakiś groźny prąd powietrza, przyemił bezlitosny blask czterech maszyn na kontuarze, przysłonił cztery twarze dziewcząt za maszynami.

— Tak — krzyczał dalej człowiek z melonikiem — jest pan śmieszny, i ja właśnie chcę, żeby pan śmiesznym pozostał; właśnie tak! Niedoczekanie pańskie, pomimo że czuję jakiś ucisk w dołku, niedoczekanie, żebym miał wypić kawę dla pańskiej przyjemności! Niech pan tak sobie stoi, taki właśnie śmieszny, choćby przez całą wieczność!

Ale moje zakłopotanie trwało tylko jedną chwilę. Szybko we mnie dojrzało pewne postanowienie i natychmiast zostało zrealizowane. Wypiłem mianowicie kawę prawą, potem wypłem kawę lewą, i odstawiłem z powrotem obie puste filiżanki na marmurze przed naszą dziewczyną, zapytując pogodnie:

— Ile płacę?

— Lira i dwadzieścia centymów.

Mój przeciwnik zadrżał od stóp do głów.

— A co do pana — rzekłem mu czule — co do pana, szanowny panie, niech pan zechce przyjąć życzliwą radę: proszę się kazać wypchać.

Człowiek w meloniku otworzył usta dwa czy trzy razy chcąc przemówić, ale z gardła wydobywał mu się tylko jakiś zachrypły bełkot.

Postarałem się mu dopomóc.

— Co mi pan chce powiedzieć?

Moja pomoc okazała się skuteczna.

— Właśnie się zastanawiałem — odpowiedział głosem zmienionym i jakby nieskończenie chorym i dalekim — właśnie się zastanawiałem, do jakiego nowego wyzysku mojej osoby znów pan zmierza przez to, co pan przed chwilą uczynił, i przez tę dziwną radę, której znaczenia jeszcze nie uchwyciłem. I nie znajduję odpowiedzi. Rozumie pan? Nie znajduję. Jakto, nie rozumie pan? Przecież to po raz pierwszy, pierwszy raz od lat czterdziestu mego życia, od dziewiętnastu lat pełnoletności, od piętnastu lat urzędowania w Starostwie — po raz pierwszy nie udaje mi się zrozumieć krzywdy, jaka mnie napewno spotkała. I to mnie zabija. Oto koniec wszystkiego, panie szanowny: czuję, że ta godzina jest godziną mojej śmierci. Żegnam bar; żegnam Starostwo; żegnam jasność dnia: wszystko to oddała się już przed memi oczami w jakiejś mgłę z poza tego świata. Ale niech pan wie, proszę pana, że to właśnie pan mnie zabił; niech wiedzą te cztery dziewczęta, że jeśli stąd wyjdę martwy, odpowiedzialność spadnie na tego jegomościa, który nagle usunął mi ziemię z pod nóg, który nagle odbiera mi mój codzienny sens istnienia, który nagle zabiera powietrze, jakim oddychałem: to on! to pan!

Zakończył swoje przemówienie gestem tak tenorowym, że raptem cztery dziewczęta, które już od dłuższej chwili wahały się zakłopotane, znowu się w nim zakochały jak na początku; ale tym razem zakochały się tak gwałtownie, że aż się tego zawstydzily; chciały to jakoś ukryć; więc aby to ukryć oparły się i nacisnęły z całych sił rękami kurki od maszyn espresso, skąd nagle wytrysnęły fontanny pary. Sycząc jak smoki, fontanny te szybko otoczyły ciemnymi chmurami maszyny, twarze i figury wciąż jeszcze naciskających kurki dziewczyn, a wreszcie cały bufet. Ogarniając coraz większą przestrzeń straszliwe te chmury, pełne zgrzytów i świstów, rozplynęły się w dół i objęły natychmiast nieszczęśnika (który znikł z przed moich oczu, jakby go pochłonęła wrząca burza) — potem szybko uniosły się aż do sufitu. Skutkiem tego nie widziałem przed sobą nic, tylko ten groźny olbrzymi dym, który teraz wznosił się przed moimi oczami jakby jakiś chwiejny mur, i wyglądał jakby zamierzał zaraz ruszyć na mnie, a wewnątrz pełen był trzasków, a na powierzchni zapalał się iskrami i małemi języczkami ognia.

Aby zachować pozory spokoju, zbliżyłem się cichutko do jednego z tych języczków, i z wielką ostrożnością zapaliłem od niego papierosa; potem powolutku, cofając się, doszedłem do drzwi i tak sobie, jakby nigdy nic, wyszedłem z mego patetycznego baru. I nigdy już nie miałem sposobności tam wrócić.



St. Podgórze

Nowa Dzielnica

Z inicjatywy klubu sprawozdawców samorządowych p. prezydent Starzyński wygłosił w tych dniach odczyt na temat urbanistycznych zagadnień stolicy. W przemówieniu swem prezydent stolicy zaznaczył główne wytyczne urbanistycznego planu, nie wchodził w szczegóły, a mimo to uzmysłowili nam wielką ilość zagadnień, potrzeb, trudności, jakie stoją przed zarządem miasta. Niezwykle żywo i jasno uwypuklił się nam cały kompleks gospodarki miejskiej. Ujrzeliśmy wielkie linje przyszłości, nie tylko w naszej fantazji, ale i w konkretnych projektach i planach obficie rozwieszonych na ścianach i stalugach. Patrząc na te graficzne wykresy, słuchając słów prelegenta, widzieliśmy tę Warszawę przyszłości. Warszawę godną miana stolicy wielkiego narodu, wielkiego państwa.

Kiedyśmy, idąc za słowami prelegenta, spoglądali na grafikony i wykresy i widzieli ogromny wzrost liczby domów skanalizowanych, zaopatrzonych w wodę, gaz i elektryczność, przyrost szkół, gładkich nawierzchni i środków komunikacyjnych, to radość napelniała nas i zadowolenie. Ale równocześnie ze zdumieniem dowiadaliśmy się o tym, że Warszawa nie ma dotąd dokonanych pomiarów, co utrudnia uregulowanie chaosu w dziedzinie budowlanej i regulacyjnej. A co zatem idzie utrudnia rozwią-

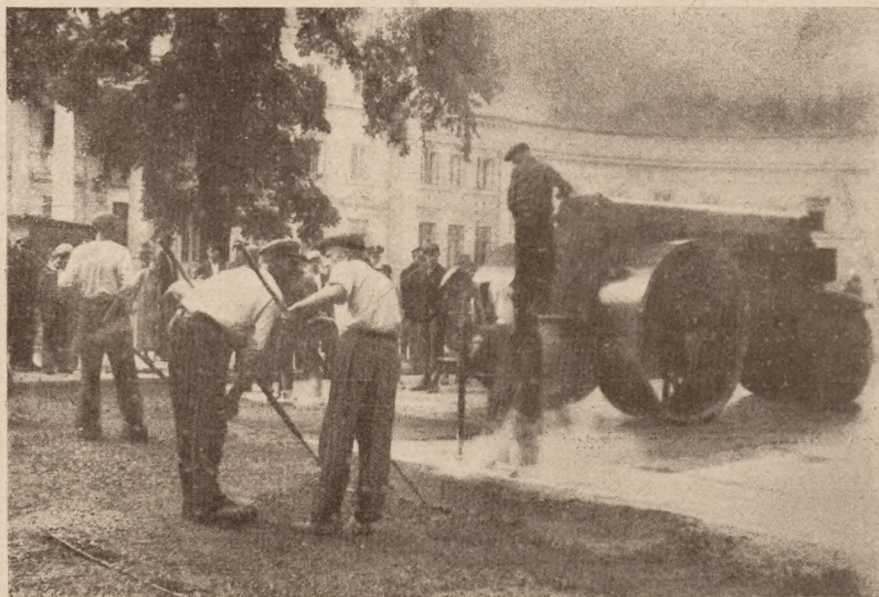
zanie wielu potrzeb komunikacyjnych. O kolejności zaspakajania tych potrzeb mówił właśnie prezydent Starzyński, podkreślając, że: czy to drogi wypadowe, czy to odwadnianie nizin, czy zakup autobusów, czy zagadnienie regulacji Wisły, zdrowotności miasta, czy wreszcie budowy metra — to wszystko są sprawy dnia. Właściwie należałoby wszystkie załatwiać niezwłocznie, od razu, dziś! A tymczasem brak środków na te inwestycje zmusza do rozpatrywania

Świat Wielkiej Warszawy

Urbanistyczne linje rozwoju

każdej z tych pilnych spraw ostrożnie, z namysłem, ultrarozwagą. Ta rozwaga właśnie musi ustalać kolejność tych inwestycji — ona to sprawia, że takie potrzeby estetyki urbanistycznej jak pomniki, fontanny muszą iść na nieco dalszy plan.

W dwugodzinnym, ze swadą, z energicznym zapalem wygłoszonym odczycie zapoznał zebranych prezydent stolicy z jej potrzebami, koniecznościami i trudnościami z jakimi musi się porać zarząd miasta. Aby się wywiązać z wielkiego zadania i obowiązku musi zarząd miasta czuć poparcie w masach obywateli stołecznych. Jak słusznie podkreślił prezydent Starzyński wzrost patriotyzmu stołecznego, powrót starego patrycjatu Warszawy do czynnej pracy dla ukochanego miasta, zjawienie się nowych pracowników i budowniczych piękna i siły stolicy odrodzonego państwa — oto siły moralne, które zarządowi miasta są niezbędne, a które obywatele Warszawy winni wykrzesywać z siebie, by zgodnie partycypować w jej rozwoju. Za zwężle zbudowany i żywo wygłoszony ciekawy odczyt o stolicy licznie zebrani w sali Dekiarta słuchacze, obdarzyli prelegenta gorącymi oklaskami. *L. Ch.*



Kazimierz Greim

„Asfaltowanie ulicy“

(z wystawy fotogr. w Związku Prop. Turyst. Warszawy)

PRZEMYSŁ I IDEA

Szereg pism zagranicznych, szczególnie amerykańskich, podało w ciągu ostatniego tygodnia wzmianki o uroczystości poświęcenia nowego gmachu organizacji International Business Machines Corporation. Organizacja ta rozwinęła się w szalenie szybkim tempie, obejmując stopniowo wszystkie cywilizowane kraje na świecie w okresie ostatnich lat 20-tu.

Trzy pokrewne instytucje, łączą się w roku 1911 w jedno przedsiębiorstwo pod nazwą Computing - Tabulating - Recording Company. Wynalezione przez



*Zdjęcie po prawej:
Nowy gmach International Business Machines Corporation w Nowym Yorku.*

*Zdjęcie po lewej:
Thomas J. Watson,
Prezes International Business Machines Corporation i Międzynarodowej Izby Handlowej.*



Dr. Hollerith'a maszyny elektryczne, działające na zasadzie kart dziurkowanych, odegrały ważną rolę przy spisie ludności Stanów Zjednoczonych w roku 1890, skracając opracowanie danych (które systemem ręcznym trwało 10 lat) do 2½ lat. System ten znany obecnie na całym świecie pod nazwą „system kart dziurkowanych HOLLERITH“, staje się podstawą rozwoju wielkiej Instytucji o zasięgu międzynarodowym.

W roku 1914 na czele organizacji staje p. Thomas J. Watson, którego nazwisko od tej pory niejednokrotnie wypływało w prasie całego świata, jako twórcy nowoczesnej organizacji sprzedaży i wielkiego działacza na polu rozwoju międzynarodowych stosunków przemysłowych i handlowych, ostatnio powołanego na stanowisko prezesa Międzynarodowej Izby Handlowej. Pod jego kierownictwem organizacja pod obecną nazwą INTERNATIONAL BUSINESS MACHINES CORPORATION jest reprezentowaną w 97 krajach świata.

Organizacja obejmuje fabrykację maszyn i wydzierżawianie ich przedsiębiorstwom na zasadach całkowitej odpowiedzialności technicznej i eksploatacyjnej. Fabryki maszyn powstały kolejno w Endicott, U.S.A. (jedna z najbardziej no-

wocześnie urządzonych fabryk w Ameryce), następnie w Anglii, Niemczech, Włoszech i Francji. Wydzierżawienie maszyn stworzyło potrzebę ścisłej i stałej współpracy między przemysłem i handlem a I. B. M. C. Współpraca ta polega na organizowaniu rachunkowości i statystyki, oraz przystawanie jej do ogromnej wydajności maszyn, co pozwala na ujęcie w najkrótszym czasie całkowitego obrazu cyfrowego działalności danej instytucji, umożliwiając tym samym najbardziej sprawne jej funkcjonowanie.

Laboratorium, w którym inżynierowie - elektrycy pracują nad doskonaleniem nowych typów maszyn, szkoły mechaników i organizatorów, które rok rocznie wypuszczają odpowiednio wykwalifikowanych ludzi, wreszcie szereg wydawnictw z dziedziny fachowej organizacji przedsiębiorstw, księgowości, statystyki i t. p., dopełniają obrazu, działalności przedsiębiorstwa.

Nic więc dziwnego, że uroczystość poświęcenia nowego gmachu, która miała miejsce 18 stycznia 1938 roku, odbiła się szerokim echem na całym świecie i znalazła swój wyraz w prasie codziennej i gospodarczej. Otwarcia nowego budynku dokonał prezes towarzystwa International Business Machines Corpora-

tion p. Thomas J. Watson w obecności 20.000 zaproszonych gości, odczytując depesze gratulacyjne Prezydenta Roosevelta, Sekretarza Stanów Cordella Hull'a oraz Sekretarza Handlu p. Daniela C. Roper'a, a następnie obrazując w krótkich słowach rozwój i działalność przedsiębiorstwa, które jako naczelną hasło wypisało na swim nowowyprowadzonym gmachu „Pokój świata przez rozwój handlu międzynarodowego“. Cała uroczystość była transmitowana przez stację specjalnie dostosowaną do odbioru światowego. Przedstawiciele życia gospodarczego i nauki podkreślali zgodnie znaczenie organizacji dla rozwoju kultury i cywilizacji oraz zasługi prezesa T. J. Watsona, jako wybitnej jednostki, pracującej dla pokoju świata przez rozwój stosunków międzynarodowych. Przemawiali Rektor Uniwersytetu Columbii, który jest jednocześnie prezesem Instytutu Pokoju przy Fundacji Carnegie, Mr. Nicolas Murray Butler, William Mazer Lewis, Rektor Lafayette College oraz pani Belmont, prezeska Opera Guild.

Uroczystość została zakończona odegraniem symfonii specjalnie napisanej dla International Business Machines Corporation przez Vittorio Giannini, w wykonaniu orkiestry radia Columbii.

Kowalscy się odnaleźli

V.

Sami są, na szczęście. Wreszcie sami. I trzymają się za ręce. Pamiętam, jakem się na nich zezłościł, zaraz pierwszym razem kiedy ich poznałem, że nie dość cenią samotność we dwoje — to, że wśród obcych, można ukradkiem uściśnąć sobie dłonie pod stołem. że można pośród zgłębku milczeć na dwa głosy, uśmiechnąć się jednym uśmiechem dwojga ust i można odejść w uścisku. Kowalscy wtenczas byli młodsi o piętnaście miesięcy. O piętnaście miesięcy zuchwalsi, o piętnaście miesięcy bardziej niezadani, olśnieni światem. Dziś już wiedzą, co znaczy ciepło przyjaznego ramienia w wielkim, rojnym mieście.

— Ojej, już mnie zloszczą wkońcu te wszystkie pomyłki! Znowu listonosz przynosi list, zaadresowany P. P. Kowalscy, otwieram — nie do nas. O jakież flaszki po piwie chodzi, pytają kiedy platforme przysłać.

— Restauracja w naszej kamienicy na dole należy do państwa Kowalskich.

— Ale nie do nas!

— Raczej nie; chyba, że tamci Kowalscy zrobili odpowiedni testament.

— Dowcipkuj sobie. A mnie wcale nie do śmiechu! U nas w magazynie Heńka na posyłki — Kowalska, zdolna od staniczków — Kowalska, woźny — Kowalski. A klientka też co dziesiąta — Kowalska. I tu dopiero tragedia. Niech Bóg uchowa, żeby ta dyrektorowa, czy mecenasowa Kowalska się dowiedziała, że ja np., albo Heńka jesteśmy taksamo Kowalskie! Raz taka jedna, co zawsze chodzi z pekińczykiem pod pachą — dobra nawet klientka, starsza pani, wydała się niedawno za kolegę syna, mnóstwo sukien sprawia, a najwięcej pyjamy odchodzą — więc ona właśnie podawała swój adres, nazwisko: Irena Kowalska... a ta idjotka Wisia miała zapisać, bo szefowej nie było i powiada: „O, już nawet zapisywać nie będę, zapamiętam, bo nasza ekspedjentka tę samą ma godność i imię“. Pokazuje na mnie. Gdybyś ty zobaczył tę minę! Babsko tak się odeło, że mało nie pękło. Nawet ten jej potwór z pod pachy się na mnie rozszczękał. Wyjęła lorgnon, przyjrzała mi się od głowy do pięt i syczy: „Dziwny zbieg okoliczności! Ale to z innych zupełnie Kowalskich“. Poszła i już więcej nie wróciła. Szefowa, jak się dowiedziała (oczywiście Heńka doniosła, bo ona znów zła na mnie, że jestem ekspedjentką a ona lata na posyłki, choć obie jesteśmy Kowalskie) szefowa mało łba Wiście nie ukręciła. Powiada: „pracownicy w firmie nie mają nazwisk! Pracownik jest maszyną firmy i nic więcej! To osoby prywatne mogą sobie pozwalać na „godność“. Tutaj tylko firma ma godność; a wami nikt się nie interesuje coście za jedne, byle była robota zrobiona“.

— Tak, tak, moja kochana, prawo szarego człowieka... Ja także mam w każdym oddziale po paru Kowalskich i jeden jest nawet Paweł. Przyznam ci się: jak mogłem tak unikałem wywoływania ich do tablicy, bo zaraz w klasie były śmieszki: „Kowal do Kowala z Kowalem“. Musiałem w końcu zmienić sy-

stem i mówić do dzieci po imieniu, nie po nazwisku. To znowu z tym Pawłem granda. Śmieją się: „Pawełek, nie daj się Pawłowi, co ty jesteś gorszego“. I zawsze ten sam kawał: wchodzę do klasy, siedzi jakaś figura w okularach przy stoliku nauczycielskim, nogami w powietrzu dynda, macha linją, drze się. Oczywiście: Kowalski. A w klasie piekło. „Co to jest? Co się dzieje? Ryk: „Oj, pomyłka, pomyłka, myśmy myśleli, że to pan nauczyciel już dawno wyklada“. Słowo ci daję, nie mogę się oprzeć, ja tych bachorów Kowalskich nie cierpię, muszę zawsze walczyć ze sobą, żeby im złych stopni nie stawiać.

— Ja znowu Heńki nie cierpię.

— A raz znowu przychodzi wizytator... Dyrektor w czasie pauzy zebrał nas wszystkich, przedstawia, kolej na mnie, tamten gość — uśmiechnięty — wyciąga rękę i jednocześnie mówimy: „Kowalski jestem. Kowalski jestem“. Odrazu uśmiech djabli wzięli, ręka, jak kawał lodu. Od tamtej pory, ile razy wizytator Kowalski w szkole — ja muszę w krzaki. A i tak dyrektor uważa mnie za nieszczęście, bo wyraźnie odkąd wizytator odkrył we mnie imiennika, na naszą szkołę patrzy złem okiem.

— Swoją drogą to dziwne... Twoja matka opowiadała, że nie wiem co by dała, żeby jakich Rzeczyców napotkać. Kiedyś się dowiedziała, że w Paryżu tacy mieszkają, to napisała do konsulatu, prosiła, żeby sprawdzono co za jedni, bo ona Rzeczycówna z domu i stryj kiedyś z austriackiego wojska dezercerował, podobno za granicą się osiedlił.

— Nic niema dziwnego. Matka brata nie miała, żadnych krewnych tego nazwiska, a nazwisko jest niezmiernie rzadkie. Więc jak tacy ludzie się ze sobą spotkają to co im szkodzi? Przeciwnie: cieszą się, bo mogą sobie wieszować, że są wyjątkowi. A my — Kowalscy, jak się co krok spotykamy, to dopiero widać, że jesteśmy szaraki; tyle nas, co wróbli. To nie jest uczucie przyjemne. Stąd właśnie ten odruch: „Pan także Kowalski? No, to gębę na kłódkę i nie pchaj się do mnie, bo ja z *innych* Kowalskich“.

— Myślisz, że w arystokracji tego niema? Radziwiłłów nie dużo na świecie, a też — podobno — są i lepsi i gorsi, jedni przed drugimi zadzierają nosa.

— W swoim kółku. Ale pośród Kowalskich Radziwiłł do Radziwiłła ciągnie.

— Kara boska z temi nazwiskami! To już chyba lepiej tak, jak szefowa mówi: „Pracownicy nie mają nazwisk. Firma ma za nich nazwisko. Tylko osoby prywatne mogą sobie pozwolić na „godność“.

— A coś ty mówiła Stefie w zeszłym roku? że umyślnie zapraszasz do domu koleżanki z magazynu, żeby zobaczyły, że nie jesteś maszyną do pokazywania bolerek, tylko „ptaszkiem“. I nie żadną panną Irenką tylko panią Kowalską. Znaczy, że chcesz być osobą prywatną.

— Pewnie! Każdy chce. Firma to firma, a dom to dom. Ale są tacy, dla których firma i dom jest jedno. Nasza firma się nazywa „Hélène“, bo naszej starej na imię Helena. To już ona może gwizdać na

prywatność, wszędzie jest Heleną — i w swojej kuchni i w magazynie też.

— Wybiła się. Wzięła za łeb inne Heleny.

— Nie bój się. Nasz Jerzunio wszystkich Kowalskich za łeb weźmie. Popatrz no się, taka figa i jak groźnie zmarszczony... Kiedy śpi, zupełnie do Napoleona podobny. I te piąstki zaciśnięte nad głową... Dlaczego on takie mnóstwo musi spać? Tak wygląda, jakby wcale nie był ciekaw świata, tylko coś tam swojego wie i ciągle to samo ze sobą roztrząsa.

— Trawi. Narazie cały świat ma w kiszkach. Tyle wie, co zje.

— Nieprawda! Czasami się uśmiecha, jak aniołek. Taki dobry, dobry.

— Bo brzusek dobry; nie uwiera, nie gniecie.

— Na złość mi tak gadasz.

— Tak gadam, jak uczeni piszą. Pierwsza faza rozwoju człowieka kręci się koło funkcji trawienia.

— A tam! Uczeni. Sami tyle wiedzą, co zjedzą. Nasza panna Kocia w Kazimierzu — pamiętasz ją? ta z koczkiem, co to geometra ją zdradził — opowiadała, że jest taka angielska bajka o Piotrusiu Panie, malusińskim chłopczyku, który w nocnej koszulce fruwał nad Londynem i zamieszkał razem z ptakami w jednym wielkim parku. Umiał fruwać i wrony go nie zdiobały i kruk mu pokazał, jakie skarby chowa w dziurawej pończosze. Bo ten Piotruś nie zapomniał, że sam był ptakiem, zanim się stał dzieckiem. Anglicy podobno wierzą, że wszystkie dzieci najpierw są ptakami. Może Jerzyk rozpamiętywuje, jak fruwał, jak na gałęziach sypiał...

— Jeżeli był ptakiem, to z pewnością wróblem, nie orłem.

— Nie mów tak! Wielcy ludzie nie koniecznie muszą być synami królów. Kowalski może także być orłem.

— Dopiero co Napoleon, później aniołek, teraz znowu orzeł. Ach, mój ty ptaszku niepoprawny, ćwierkający ptaszku kochany! Nie wiem, doprawdy, czy sobie życzyć, żeby nasz syn był orłem? Wróbli los jest łatwiejszy.

— A sam się gryziesz... Sam wdychasz po nocach... Polesie, samodzielne stanowisko, lepszych ludzi wychowywać! Bachorów Kowalskich w swojej klasie nie cierpisz. Chciałbyś być Kowalskim ponad Kowalskimi!

— Tak jest. Chciałbym, cholera. Chciałbym! Czegoś mi brakuje... Rozumieć, to wiele rozumiem. I czuję. Tylko jakiegoś wielkiego drygu, tej cholernej decyzji, desperacji, czy losu poprostu wielkiego — co to chcesz, nie chcesz, *musisz* wyłazić ze skóry, łamać się ze sobą i ze światem, cierpieć, coraz wyżej się pięć — tego we mnie niema.

Dlatego wróblem się urodziłem, wróblem umrę, psia krew.

— Pawełeczku, to cóż ja mam powiedzieć? Jeżeli ty wróbel, to ja chyba jakiś śmieciuch najgorszy, czy co...

— E, nie... Ty co innego. Kobieta powinna być taka leciutka, świergotliwa... Gdzież tam śmieciuch! Ty jesteś miły ptaszek. Po diabła tam orlice, albo sowy! To nie są wcale kobiety.

— Ty mnie lubisz, prawda, Paweł? I jesteśmy szczęśliwi. No więc bądźmy wróble, bądźmy! Co mnie reszta obchodzi.

— Otóż to. Chciałoby się, owszem, nie przeczę, żeby dziecko tam doszło, gdzie nam sił, czy zdolności, czy wprost zrzędzenia boskiego zabrakło... I strach człowieka ogarnia. Bo jak my nie mamy wielkich pretensji, to i do nas wielkich pretensji nie mają. Małe życie—mała odpowiedzialność. Byle kąć cichy dla dwojga... Ani zawiści wokoło, ani szykan. Tymczasem, niech się ktoś wybije, oho, już kochani bliźni starań dołożą, żeby mu życie obrzydzić. Pamiętam jedna moja stryjenka zamożna osoba — dzieci nie miała, wzięła sobie ubogiego chłopca ze wsi, sierotę. I miała go za swego. To wcale nie mogła w kuchni spokoju utrzymać. Kuchty jedna za drugą dziękowały za służbę, chociaż roboty mało i pensja świetna i dobre traktowanie. „Nie — powiada babina — chamskiemu bękartowi usługiwać nie bede. Za paniczem nocniki mogę wynosić, a temu Jaśkowi, co jego ojciec gęsi ze mną razem pasał — łóżka nie pościelę i nie. Taka sama ja pani, jak on panicz“. Stryjenka perswadowała, że ten Jasio bardzo jest zdolny, że na wielkiego muzyka wyrośnie, to cała wieś właśnie powinna być dumna, i ta Józiowa powinna się cieszyć, że mu dopomaga. Gdzież tam! „Ja też może zdolna byłam i muzyków nie jestem uczona, to i Jasio bez muzyki wyżyje!“ Nie lubią, oj nie lubią Kowalscy, żeby jeden z nich raptem na orła wyfrunął!

— Ale *swoje* dziecko, to jednak każdy popycha. byle się z niskiego stanu wyrwało. Żeby ten Jasio był Józiowej, toby mu nie zazdrościła pańskiego życia.

— Pewnie. Tylko, że pociechy na starość toby też nie miała. Gdzie szukać takich dzieci, coby rodziców przerosły i potem się ich nie wstydzily, nie wyparły całkiem?

— Nie wykrzykuj tak, Jerzunio się krzywi... Widzisz, obraził się. On się nas nie wyprze, nie będzie się wstydzil. Płacze... Widzisz, jak mogłeś tak na niego mówić? No, śpij, moje złoto najmilsze, spij — tatuś żartował.

HIGIENA - TO ZDROWIE

Wielu higienistów twierdzi, że jedynie mechaniczne opakowanie proszków daje gwarancję całkowitej higieny ich wykonania.

Maszynowo — bez dotyku rąk ludzkich wykonane proszki „Migreno-Nervosin“ — Z KOGUTKIEM — w torebkach (nowe opakowanie) dają tę gwarancję.

Dbając więc o własne zdrowie, żądajcie proszków Z KOGUTKIEM tylko w mechanicznie wykonanych torebkach, gdyż dzięki temu unikacie narażenia zdrowia swego na przykre niespodzianki.



Gruźlica płuc

jest nieubłagalna i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar. — Przy zwalczaniu chorób **płucnych: bronchitu, grypy**, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „Balsam Trikolan-Age“, który ułatwia wydzielanie się płwociny usuwa kaszel, wzmacnia organizm i powiększa wagę ciała. Do nabycia w Aptekach.

— Rzeczywiście, za głośno gadamy... I same głupstwa... Czekaj, zgaszę światło. Chwała Bogu — znów zasnął.

— Pobądźmy chwilę cicho. Chodź tu, do okna... patrz. Jaki dziwny widok... Tyle tych jasnych kwadratów, pokreślonych krzyżami... Pomyśl, prawie każde okno to dom osobny, w tej naszej kamienicy są same małe mieszkanek. I za każdym oknem — rodzina. O, popatrz na III-em piętrze zapalają choinkę, a tam na prawo w rogu lampa przysłonięta gazetą, dziecko usypia, jak u nas. Trzy oficyny i front. Podobno około czterystu osób... jedne nad drugimi spiętrzone, za każdą ścianą sąsiedzi — i ten sam niepokój, ta sama harówka... ta sama nadzieja. Popatrz w górę... Wcale nieba nie widać, siedzimy tu, jak w studni. Aż straszno.

— Nie, owszem... o tam, nad tym blaszanym kominem jest gwiazda. Widzisz? Mruga.

— Ciekawam, czy to ma jakieś znaczenie. To mruganie gwiazd do ziemi? do ludzi? Czy one coś wyrażają dla nas możliwego?

— Nie wiem. Ale bez nich nikt nie potrafiłby żyć. Cicho! Czy mały coś powiedział? Nic... Cisza... Wydało mi się, że powiedział: tak.

— Doprawdy? Ale co „tak“?

— Bo ja się go w myśli zapytałem, czy on będzie tęsknił do gwiazd.

Droży Państwo — odchodzę. Moje służby u Kowalskich skończone. Uczepiłem się kiedyś sympatycznej nici między parą warszawskich ptaszko a sobą, drżącej struny lęku przed niewiadomem, śpiewnej struny miłości. Chodziłem za nimi, grzałem się w ich ciepłe, rozgłaszałem ich słowa, żeby dodać otuchy innym ptakom zziębniętym i nastroszonym w ubogich, wróblích gniazdach. Mieszkanek Kowalskich stało mi się państwem, Kowalscy — parą suwerenów, świat cały utonął w świergocie.

Ale niema państw wiecznych i niema suwerenów, którychby nie zdetronizował dyktator. We wróblem gnieździe Ireny i Pawełka urodził się orzeł. Jerzy I. Istota nadprzyrodzona, kochanek i zwycięzca gwiazd.

Kowalscy przestali się liczyć nawet dla samych siebie. Nasze biedne ptaszki są już tylko rodzicami orła. Jeszcze się trochę boją jego orlich losów, rodzi-

TYGODNIK ANGIELSKI WYCHODZĄCY W WARSZAWIE WYDAŁ NUMER WILEŃSKI.

„The Warsaw Weekly“, jedyne pismo w języku angielskim wychodzące na terenie Rzeczypospolitej, a mające za zadanie zapoznanie krajów anglo-saskich ze sprawami polskimi, ostatni swój numer poświęciło Wilnu. Szereg interesujących artykułów z pod pióra pp. Wacława Gizbert - Studnickiego,

Dr. Ryszarda Mienickiego, Dr. Ksawerego Piwockiego, Cecylji Halpern, Heleny Schrammówny i t. d., oraz liczne ilustracje składają się na interesującą całość. Pismo, redagowane łącznie przez p. Egertona Sykes'a i p. Cecylję Halpern, w ciągu 3-ch lat swego istnienia zdobyło sobie liczne grono czytelników we wszystkich częściach świata, szerząc wiadomości o Polsce.

DO NAJMILSZYCH CHWIL . . .

zaliczamy zwykle te, o które uda nam się opóźnić ranne wstawanie. Przecież to tak miło przeciągnąć się jeszcze tuż przed wstaniem w ciepłym łóżeczku. Nawet udręczona pani domu może zyskać rano nieco czasu wolnego, używając do przyrządzenia kawy gotową mieszankę **Enrilo**, która daje nie tylko wymienioną i zdrową kawę, lecz także umożliwia prędkie jej przyrządzenie.

Maskotka

GILZY PATENTOWANE

Z SUROWCÓW NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

„PRZEMYSŁ GILZOWY“

Stefan Kamiński i Antoni Woźniak

Warszawa, Rymarska 12

Telefon 11-23-88

OKEJ SUPER

CO POWINIEN WIEDZIEĆ KAŻDY
MIESZKANIEC STOLICY
O S W E J
(największej w Polsce)

KKO MIASTA ST. WARSZAWY

Traugutta 5

Bieleńska 8 Targowa 65 Bagatela 14

Wkłady w 1937 r. **wzrosły** o sumę zł. 28.500.000

Stan wkładów na 31.XII.1937 wynosił 145.500.000

Obrót roczny przekroczył 1.300.000.000

Płynność aktywów I-ego stopnia — ok. 100%
ponad normę

Wkłady są **korzystnie** oprocentowane za każdy dzień lokaty

Odsetki są doliczane do kapitału **dwukrotnie** w ciągu roku

Książeczki oszczędnościowe Kasy są honorowane przez KKO w większych miastach i uzdrowiskach.

Swoim stałym wkładcom Kasa zapewnia

Pierwszeństwo **POŻYCZEK**
w otrzymywaniu

cielskie serca drżą przed wizją szczytów i przepaści, a także smutek zbiera na myśl o zapomnianej na śmietniku starości, kiedy wielki ptak odleci do wielkiego świata.

Jednak — niema co się łudzić! — oni mu skrzydeł nie podetną. Będą coraz mniejsi, coraz cichsi — żeby jemu sposobności ani jednej nie ująć.

Gdzież tu miejsce dla mnie? Odchodzę. Jaka nie łączyć nas może — mnie, starego warszawskiego plotkarza, z tym młodym bożycem?

BISKAYE I MENU

Mój sąsiad przy stoliku położył sobie na kolanach serwetkę i nabierając z półmiska ziarnisty kawior, z błogim uśmiechem odezwał się do swej platynowej towarzyszki:

— Teraz zjem lenczyk, a potem pójdę na pokładzik, położę się na leżaczek a następnie pójdę do kabinki, wysmaruję się olejkim, kremkiem, ptasim mleczkiem i...

W tej chwili, ziarnisty kawior spadł mu na krawat, zdobiąc go w piękne, czerwone grochy tudzież wielce fantazyjne desenie, zaś sardynka bez głowy nagle ożyła na talerzu i rażno wskoczyła platynowej piękności za dekolt. Butelka Porto, w nagłym ataku megalomanji, poczęła zgrywać się na pizańską wieżę, a spodeczek od cytryny zawirował, niczem na spirytystycznym seansie.

Uśmiechnięty jegomość wytrzeszczył oczy i spytał mnie przestraszony:

— Cóż to takiego, doprawdy?

— Biskaye, — odpowiedziałem spokojnie, zdejmując sobie z oka skumbrję w sosie pomidorowym.

— Zatozka?! — zdumiał się niepomiernie i ruchem fakira wyrzuciwszy z za kołnierza stertę wykalacek, chwycił się za czoło.

— Niedobrze jest! — jęknął. — I nie tylko niedobrze, ale nawet bardzo źle. Obawiam się, że będę miał morską chorobkę. Co się wtedy robi?

— Zwraca się jedzenie — odparłem rzeczowo.

— Ale, żeby nie zwracać?

— W tym przedmiocie jest kilka naukowych teoryj — wyjaśniłem pedagogicznie — szkoła szkocka radzi: nie jeść, nie pić, nie spać, szkoła francuska: jeść dużo, szczególnie ostre potrawy, pić wiele, wyłącznie koniak, spać długo, ale w dzień; szkoła angielska poleca: leżeć nawznak z rękoma na kołdrze, szkoła sowiecka: stać pod ścianą z rękoma do góry, szkoła niemiecka: zakneblować usta, szkoła włoska: założyć na głowę worek, garncezek lub t. p., wreszcie szkoła międzynarodowa: zostać na lądzie.

— Panie! Przecież to... doprawdy... kiwa... słowo... ho... nor... ru... Ja... te... go... nie... chcę...!

— To niech pan każe zatrzymać okręt i niech pan wysiądzie.

— A obiecywali same przyjemności... Też! — oburzyła się piękna platyna.

— Niech szanowna pani poprosi o książkę zażaleń — skłoniłem się w stronę pustych foteli, gdyż zagniewana para pędem wybiegła z jadalni.

Wypiłem bardzo słodką herbatę, gdyż do filiżanki wskoczyło dziewiętnaście

*.. fale podzucają statkiem,
jakby grając
nim w niemodne
już Yo-yo*

(zdjęcie na błonie Agfa)



kawałków cukru i holendrując jak zawodnik na olimpiadzie łyżwiarzy, wyszedłem na dokładnie wymieciony z pasażerów pokład.

Statek gnał po burzliwej zatoce, gniewny i groźny, tratując w pędzie bezskutecznie przeciwstawiające mu się granatowe fale i rozcierając je na proch białej piany

Na jednym, jedynym, rozstawionym leżaku siedziała otulona w koc rumiana pani i z zadowoloną miną misternie obierała pomarańczę.

— Zjadł pan cały lunch? Ślicznie, bardzo ślicznie! — pochwaliła mnie, jak gubernantka posłusznego chłopczyka, który grzecznie zjadł talerz kaszki. — Bra-wo!

— A pani?

— Ja?! — lekceważąco machnęła nożykiem od owoców. — Ja, proszę pana jestem starą podróżniczką. Ja nic, tylko zwiedzałabym dalekie światy! Nadzwyczaj mnie to ciekawi!

— W Grecji pani była?

— Ma się rozumieć! W zeszłym roku! Piękny to jest kraj! Taki antyczny! Bardzo piękny! Jak zbliżyliśmy się do Pireusu, to na kolację były: majonez z homara, halibut w sosie truflowym, gęś z jabłkami i lody ananasowe. Piękny był Pireus. A jak przyjechaliśmy do Aten, to dali: węgorza w czerwonym winie, haddock w sosie Casanova i budyn truskawkowy. Tak! Ateny pozostawiły niezapomniane wrażenie! A kiedy przybyliśmy do Neapolu, to podano: makaron w sosie Zingaro, pieczeń rzymską, karpia z wody i buljon a la Windsor! Ach, panie złoty! Ten Neapol, to doprawdy najpiękniejsze miasto! Dopiero wtedy zrozumiałam, jakie to trafne: „Zobaczyć Neapol i umrzeć!“ Umrzeć z przejeżdżenia!

— Myli się pani! — zaprzeczyłem — straciła bowiem pani wiele, że nie pojechała do Hiszpanji. Pamiętam, gdy płynął do Cadixu i Sewilli, to podano nam: Soufflet a la „Tire aux pigeons“ oraz pstrągi w sosie, „cherchez la femme“. A pani buljon a la Windsor zupełnie mi

nie imponuje, bo nam dano: polędwicę a la Simpson w kompcie z bananów nadziewanych brzoskwiniami z rumem! No i co pani na to?

— A... a gdzie to było? — spytała zachwycona.

— U brzegów Hiszpanji.

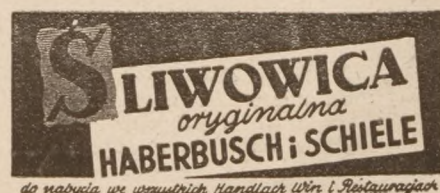
— Szkoda, że tam teraz nie można pojechać... — westchnęła z głębi bujnych piersi. — Wojna tam teraz podobno. Wyniszczają się... a taki piękny kraj, jak siyszę.

Odszedłem, pozostawiając ją smutną i przygnębioną.

Morze warczało ponuro. Gniewne Biskaye podzucaly pasażerskim statkiem wdół i wgórę, jakby grając nim w niemodne już Yo Yo i piły w najlepsze z jego imponującej ludzom długości, wspinałej rozpiętości, potężnej wyporności, doskonałej linii zanurzenia, trzystu osób załogi i iluśtam tysięcy ton



WARSZAWA,
MARSZAŁKOWSKA Nr. 154.



Jak w bajce

Panie siedziały przy okrągłym stole. Za oknami pruszył śnieg. W pokoju było jasno i ciepło.

— Tak, tak, aby do wiosny — odezwała się pani Marychna.

— O, to jeszcze kawałek czasu, ale i zima jest miła — wtrąciła pani Zosia.

— Wolę wiosnę, mam tyle planów, projektów, a przy tym zima kosztuje — obstawała przy swoim p. Marychna.

— Zima ma swój urok, karnawał, zabawy, sporty, — przepadam za jazdą na nartach. Za tydzień wyjedziemy do Zakopanego, to dopiero uciecha. Broniek wziął już urlop, spędzimy tam ze dwa tygodnie — entuzjasmowała się p. Zosia.

— Owszem, nie przeczę, taki wyjazd to miła rzecz... Ale bo też wy możecie sobie pozwolić na to. My co innego — Stach, jak wiesz, ma duże obowiązki, z naszego budżetu nie tak łatwo wykroić wolną sumę na wyjazd odpoczynkowy.

Marzymy oboje o tym, ale kto wie, czy się uda... — żaliła się p. Marychna.

— Wiem o tym, kochana Marysiu, ale muszę ci powiedzieć, że jesteście oboje mocno niepraktyczni, nawet zacofani.

— Niepraktyczni? Tobie to łatwo przychodzi. — Oburzyła się p. Marychna.

— Nie gniewaj się, mam rację i przekonam cię. Myślisz napewno: „Jak się ma trochę grosza, łatwo krytykować i dawać dobre rady“. Jakbym wiedziała. Ale — kochanie, jesteś w grubym błędzie. Nie wiesz, bo mój Broniek jest wielki dyplomata i lubi sekrety, że dorobiliśmy się pewnej fortunki w sposób nieoczekiwany — jak w bajce.

— No, no, mów Zosiu, taka jestem ciekawa.

— A widzisz. Słuchaj. Gdy było ciągnięcie Loterii Państwowej półtora tygodnia temu, Broniek wziął dwie ćwiartki. Zrzędził, dogryzał mi przez dwa miesiące, że to zbędny wydatek, że nic nie wyszło, że

wogóle... wiesz, jak to oni potrafią. Aż tu bęc... W trzeciej klasie pada na nasz numer duża wygrana. I — wyobraź sobie — ci mężczyźni — potem Broniek się chwalił, że to jego zasługa, bo to on wybrał numer. I od tej wygranej zaczęło się: Broniek otworzył do spółki z Jankiem biuro budowlane, interes idzie doskonale, zapomnieliśmy o kłopotach.

— No wiesz, to naprawdę jak w bajce.

— A widzisz, nie mówiłam ci.

— Jutro Stach musi kupić los na 41-ą Loterię. Musi — orzekła bezapelacyjnie Marychna.

— Bo — dodała p. Zosia — żebyś wiedziała, że teraz macie jeszcze większe szanse wygrania niż myśmy mieli. I losów mniej, o całe trzydzieści pięć tysięcy i każda wygrana dzielić się będzie teraz nie na cztery, lecz na pięć części. Tylko nie zwlekaj z pójściem do kolektury, gdyż ciągnięcie pierwszej klasy rozpoczyna się już 17-tego lutego.

Ulgowe kupony „Świata” do Teatrów Niezależnych

Teatr Malickiej

pod dyr. Z. Sawana
Karowa 18. Tel. 5-29-99

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 11 II do 18. II
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

ważny codziennie o 8-ej (również w soboty i święta) a w niedzielę nadto o 4-ej ppł. w kasie teatru cały dzień bez przerwy od 11-ej rano do 8-ej w.

Teatr „8.15” Śniadeckich 5

Tel. 7-00-26

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 11. II do 18. II
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

(prócz sobót i świąt) w kasie teatru
od 11 — 2 i od 5-ej ppł.
do 8-ej w. na wszystkie miejsca

Teatr „Wielka Rewia”

Karowa 18. Tel 6-92-99

Kupon ulgowy „Świata”

ważny od 11. II do 18. II
upoważniający do nabycia 2-ch biletów

z 40% zniżką

w kasie teatru od 11 — 2
i od 5-ej do 8-ej

SREBRNY KRZYŻ ZASŁUGI W MEDJOLANIE

Za zasługi na polu pracy społecznej otrzymała



P. Justyna z Silberbogenów Grundlandowa
siostra znanego lekarza warszawskiego

Paryskie wystawy sztuki

Sezon wystawowy 1938 rozpoczął się w Paryżu dnia 7 stycznia inauguracją wystawy dzieł Goyi, zgromadzonych w Musée de l'Orangerie, a pochodzących z kolekcji francuskich.

Obrazy wielkiego hiszpańskiego mistrza znajdują się w wielkiej sali Muzeum; obok — w sąsiednich salach — wystawiono, darowane przez panią W. Gay dla Luwru bogate zbiory płócien i rysunków (m. in. Rembrandt, Watteau, Boucher).

Na wiosnę Luwr organizuje ciekawą wystawę malarstwa angielskiego, podczas kiedy w Orangerie mieć będzie miejsce wystawa pod nazwą „Bonaparte w Egipcie“, a w Carnavalet oglądać będziemy Paryż, taki, jakimby był, gdyby wszystkie plany jego rozbudowy i przebudowy zostały zrealizowane.

Czerwiec poświęcony będzie sztuce Iranu, której okazy zgromadzą muzea: Orangerie, Guimet i Bibliothèque Nationale. Równocześnie Musée du Jeu de Paume zorganizuje wystawę sztuki amerykańskiej.

Z początkiem jesieni natomiast — w Orangerie otwarta będzie wystawa „Matka Boska w sztuce francuskiej“.

Bliższe szczegóły podawać będziemy w miarę ich ustalania — w kalendarzyku imprez.

Świat książki

L. Rydel: **BETLEJEM POLSKIE**. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa. Str. 94. Zł. 1,80.

„Betlejem Polskie“, choć pochodzeniem swoim należy do epki przedwojennej, przetrwało w pełnej żywotności do dni dzisiejszych. Niezliczona, wciąż rosnąca ilość przedstawień jasełek Rydlewskich na wszystkich scenkach polskich, w tym na krakowskiej scenie wynosząca dotąd 272, świadczy wymownie o trwałej sile scenicznej widowiska, pięknie splatającego ze sobą w barwną i wzruszającą całość element religijny, ludowy i narodowy, dającego równie tradycyjne misterjum Bożych Narodzin, przeplatane barwnymi intermedjami, jak i pełne wiary krzepiącej widowisko patriotyczne. „Betlejem Polskie“ w obecnym nowym wydaniu, jako jeden z tych utworów scenicznych, które stały się trwałymi ogniskami żywej kultury narodowej i czynnego patriotyzmu, wychodzi jako jeden z tomów „Teatru Polski Żywej“, teatru nawiązującego swój wątek zarówno do tradycji narodowej, jak i do wzruszeń współczesnego pokolenia. Wydanie niniejsze ma również i praktyczne znaczenie przez umożliwienie scenom ludowym wystawiania jasełek Lucjana Rydla, poety, co twórczością i życiem swoim związał się z dziejami młodej, do nowego życia obudzonej wsi polskiej.

Dr. R. Wojtusiak: **W SERCU KAU-KAZU**. Książnica - Atlas. Lwów — Warszawa. 1937. Str. 256. Zł. 6.—.

Z książką R. J. Wojtusiaka „W sercu Kaukazu“ przybywa polskiej literaturze podróżniczej nowa ważna pozycja. Odnosi się ta książka do jednego z najcie-

kawszych krajów, o którym u nas dotychczas wie się stosunkowo niewiele. Autor, przyrodnik-zoolog, docent Uniw. Jagiell., opisuje swe wrażenia z podróży, jako uczestnik pierwszej polskiej wyprawy alpinistyczno-naukowej w Góry Kaukaskie, wysokością swą i dzikością znacznie przewyższające Alpy. W tok swego opowiadania wplata też autor zręcznie obfite a zajmujące wiadomości o krajach i ludach, wśród których poruszali się polscy podróżnicy, o zwyczajach, jakie tam panują o faunie, florze i krajobrazie tego górskiego świata.

Dybczyński Tadeusz. **TAJEMNICE ŁYSOGÓR**. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Lwów 1937 r. Str. 181 + 1, 39 ilustracji. Zł. 2.80.

Grono przyjaciół, którym dzięki odwadze i pomysłowości udało się uciec z zesłania syberyjskiego i po rozmaitych ciekawych przygodach dotrzeć do odrodzonej Ojczyzny, spotyka się w dworcu jednego z bohaterów powieści i postanawia odbyć wspólną wycieczkę krajoznawczą po pobliskich Łysogórach.

Ze sposobności tej korzysta autor, wybitny znawca i miłośnik zakątka Polski, aby roztoczyć przed nami całą gamę jego uroków krajobrazowych i historycznych.

W beztrudnej pogawędce z sympatycznymi bohaterami powieści wędrujemy od stóp Łysicy przez Bielin, Łysą Górę, Święty Krzyż, Witosławice, Modrzewiową Górę, Bodzentyn, strony rodzinne Żeromskiego aż do Karczówki i Kielc, wynosząc z tej milej wycieczki duży zasób wiadomości o Łysogórach i dużo sentymentu dla tej przepięknej krainy puszczy jodłowej“.

CZY PANI WIE że Puder higieniczny



Lab. Chem. Farm.

M. MALINOWSKIEGO

DAJE PIĘKNĄ KARNACJĘ,
A NIE NISZCZY CERY.

Warszawa, Chmielna 4.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH PIERWSZORZĘDNYCH FIRMACH.

WYBRANCY FORTUNY

Niezależnie od miliona złotych, stanowiących główną wygraną w ciągu czterdziestej Loterii Klasowej padły jeszcze liczne wygrane mniejsze, które jednak wpłyną wydatnie na poprawę bytu właścicieli szczęśliwych losów.

Na pierwszej fotografii widzimy p.



Z O F J Ę K Ę C K ą, urzędniczkę Inspektoratu Szkolnego w Łodzi. Wraz z gronem swych koleżanek i kolegów posiadała ona ćwiartkę losu Nr. 42.327, który w klasie drugiej wygrał 100.000 zł. zaraz obok figuruje p.



A n t o n i D e r t a k, przemysłowiec z Żyrardowa pod Tarnowem, właściciel ćwiartki losu Nr. 113.061, na który w tejże klasie padła wygrana 75.000 zł.



Powyżej widzimy przedewszystkiem grupę, złożoną z pp. **Z O F J I Ż O Ł Ę D Z I O W S K I E J**

M A R J I P O S P I E S Z N E J
i
S T E F A N A P I E T R Z Y K O W S K I E G O
właściciele ćwiartek N-ru 145.912, oraz p.p.



J A N A K L E C Z E W S K I E G O
i
C Z E S Ł A W A W I E C H L I Ń S K I E G O
konduktorów tramwajowych z Łodzi, posiadaczy ćwiartki losu Nr. 169.947. Na obydwu te numery w klasie czwartej padły wygrane po 75.000 zł.

W obecnej, czterdziestej pierwszej Loterii losy dzielić się już będą nie na cztery, lecz na pięć części, co łącznie ze zmniejszeniem ilości losów o trzydzieści pięć tysięcy znacznie wzmogło szanse wygrania.

Ofiarność na F. O. N.
POŚREDNICY UBEZPIECZENIOWI NA F. O. N.,

W tych dniach odbyła się uroczystość przekazania Armji 11 granatników piechoty, zakupionych ze

składek pośredników ubezpieczeniowych przez specjalnie utworzony Komitet Funduszu Obrony Narodowej wśród Pośredników Ubezpieczeniowych.

SAMOLOT NA F. O. N.

W ogólnej akcji społeczeństwa w kierunku dozbrajania naszej Ar-

mji nader pracowity udział bierze Centralny Związek Plantatorów Tytoniu Rz. Pol. w Warszawie, który w drodze dobrowolnych składek przeważnie od drobnych rolników zebrał sumę 30.000 zł., którą przeznaczył na zakup samolotu dla Armji.

Kronika Muzyczna

Igor Markiewicz

Wśród styczniowych koncertów filharmonijnych znajdujemy sensacyjne nazwisko: Igor Markiewicz. Młody ten, gdyż zaledwie, 26-letni artysta, zyskał sobie w krótkim czasie sławę światową, zajmuje on dziś czołowe stanowisko w najmłodszej generacji muzycznej. Pozналиśmy tu Markiewicza, jako kompozytora, dyrygenta i — myśliciela. W przeddzień swego koncertu przedstawił on w pogadance, jaką miał w Towarzystwie Muzyki Współczesnej swoje „credo“ artystyczne. Były to wywody romantyka z silną domieszką mistycyzmu, wywody przypominające filozofję romantyków niemieckich; Markiewicz przeciwstawia intelektualnemu poznaniu świata, poznaniu intuicyjne, znajdujące swój najczystszy wyraz w sztuce. Artysta ten, występuje przeciw pustemu formalizmowi muzyki dzisiejszej, walczy o „treść“ w muzyce. Ma ona, podobnie jak mity, „wyrażać głębokie prawdy ludzkości. (Muzyka Markiewicza wiąże się też z mitami, nprz. w „Odlocie Ikara“). Pogadanka, której tytuł brzmiał „Rola tradycji w muzyce przyszłości“ nie dała nam zamkniętej całości, ani konsekwentnie przeprowadzonego toku myśli, lecz zawierała dużo ciekawych, może nawet frapujących uwag i była przedewszystkiem fascynującą w formie, pełnej wdzięku i dowcipu, i w bezpośredniości, z jaką prelegent od pierwszego słowa nawiązał kontakt z publicznością.

Fascynującą jest też kompozycja Markiewicza „Le nouvel âge“ utwór symfoniczny, którego prapremiera odbyła się 21 stycznia w Filharmonii Warszawskiej. Jest to utwór oryginalny, który porusza nas ogromną werwą artystyczną, chociaż „na zimno“ możnaby mu zarzucić niejednorodność, niektóre partje, zbyt hałaśliwe (choć świetnie i oryginalnie instrumentowane) przysłaniają bieg melodji — lecz sugestywna siła talentu



Moja słodka cera

zawdzięczam tym dwóm
kremom: pielęgnującemu
i upiększającemu.

CRÈME SIMON CRÈME SIMON M.A.T.



PUDER SIMON
MYDŁO SIMON

Markiewicza sprawia, że słuchamy go właśnie „na gorąco“. — To bezsprzecznie artysta, który jeszcze wiele ciekawego będzie miał do powiedzenia. — Solistą koncertu filharmonicznego pod dyr. Markiewicza był Aleksander Umiński, pianista, ceniony i lubiany w Warszawie od czasu konkursu Chopinowskiego, którego został laureatem. Umiński zagrał pięknie koncert e mol Chopina, choć możnaby mu zarzucić pewną sztuczną powściągliwość. Naprawdę doskonale odegrał pas Debussy'ego, „Feux d'artifice“, zarówno pianistycznie, jak i pod względem interpretacji.

J. Brzostowski. Kobieta zdobywa świat. Wyd. Hoesick. Warszawa 1938.

M. Mikulska. Odwet. Wyd. Hoesick. Warszawa 1938.

J. Strzemię-Janowski. Karmazyny i żuliki. Wyd. Hoesick. Warszawa 1938.

Książki nadesłane

Knut Hamsun. A życie toczy się dalej. Wyd. R. Wegner. Poznań.

Z. Nałkowska. Dom nad łąkami. Wyd. Książnica-Atlas. Lwów 1938.

L. H. Morstin. Misterjum nocy majowej. Wyd. Gebethner i Wolf. Kraków 1938.

R. Wojtusiak. W sercu Kaukazu. Wyd. Książnica-Atlas. Lwów 1938.



Siłę i zdrowie daje



FF Fosfatyna
FALIERA

Dzieciom i dorosłym

POMAGA WYPRÓBOWANY ŚRODEK
PRZECIWKASZLOWY I PRZECIWKOKLUSZOWY

DANUTOL-RAWSKI

nie zawiera żadnych narkotyków, lecz tylko
ustabilizowane żółta lecznicze w postaci kropeł.

DO NABYCIA W APTEKACH

SKŁAD GŁÓWNY: APTEKA MGR. J. RAWSKIEGO
WARSZAWA, MARIANSKA 12

WESELA — BANKIETY — ZEBRANIA TOWARZYSKIE
NAJLEPIEJ URZĄDZANE **POLONIA PALACE** CENY ŚCIŚLE SKALKULOWANE
w RESTAURACJI HOTELU SPECJALNE SALE BANKIETOWE
DANCING GABINETY — WEJŚCIE JEROZOLIMSKA 39 WYSTĘPY ARTYSTÓW



Elżbieta Dzięwońska występująca obecnie gościnnie w Teatrze Polskim w Poznaniu zdobyła sobie uznanie prasy i publiczności poznańskiej świetnymi kreacjami w „Janie” Molnara (hr. Katiénka), „Podarku Sylwestrowym” Fodora (Sonia) i „Dobrej wróżce” Molnara (Lu)

Regulamin konkursu przekładów poetyckich

1. Konkurs obejmuje nigdzie nie publikowane przekłady polskie czterech niżej podanych utworów:

angielskiego W. B. Yeats: „No second Troy”;

francuskiego—Louis Bouilhet: „Vers a une femme”;

niemieckiego — J. W. Goethe: „An Madame Marie Szymanowska”;

rosyjskiego — A. Puszkina: „Ja pamięni czudnoje mgnowienie”.

Teksty tych utworów oraz niniejszy regulamin otrzymać można w lokalu Związku Zawodowego Literatów Polskich, Warszawa, ul. Pierackiego Nr. 16a. Zamiejscowi proszeni są o podanie swych adresów.

2. Jeden uczestnik może nadesłać kilka wersji swych przekładów.

3. Przekłady, przepisane na maszynie, mają być zaopatrzone w godło, a w

załączonej, zaklejonej i tym samym godłem oznaczonej kopercie zawarte być winno imię, nazwisko i adres autora przekładu.

4. Termin ostateczny nadsyłania przekładów konkursowych mija z dniem 1 kwietnia 1938 r.

Dla przesyłek z poza Warszawy rozstrzyga data stempla pocztowego.

5. Sąd konkursowy ogłosi wynik konkursu do dnia 1 maja 1938 r.

6. Nagrody są następujące:

a) w każdej z czterech kategorii I nagroda 125 zł. 500 zł.

b) w każdej z czterech kategorii II nagroda 75 zł. 300 „

c) w każdej z czterech kategorii III nagroda 50 zł. 200 „

Razem. . . 1000 zł.

Ponadto autorzy prac wyróżnionych otrzymują dyplomy Sekcji Tłumaczy.

7. Sąd Konkursowy zastrzega sobie

prawo wydrukowania wyróżnionych, a nie nagrodzonych przekładów, placąc wierszowe po 50 gr. od wiersza.

8. Materiał konkursowy będzie wyżytkany do badań krytyczno - literackich, przy czym wiersze konkursowe będą mogły być cytowane bezpłatnie.

9. Skład Sądu Konkursowego:

Jan Parandowski, Leopold Staff; prof. Andrzej Tretiak, Julian Tuwim.

OMYŁKI ZECERSKIE W „NUMERZE ORTOGRAFICZNYM „ŚWIATA”.

Autorka prosi nas o skorygowanie, że w artykule p. Julji Wieleżyńskiej p. t. „Szczypta teorii”.

Zamiast: — W drodze ku uproszczeniu ubywają firmy... — powinno być: w drodze ku uproszczeniu ubywają formy.

Zamiast: — stara końcówka rodz. żeńsk. matkami, zabawami... powinno być:

stara końcówka rodz. żeńsk. matkam, zabawam.

Zamiast: — narzędnik emi -emi— powinno być: narzędnik em -emi.

W bibliografii pism, stosujących nadal dawną ortografię, pominięto następujące pisma:

— Wiadomości Matematyczne.

— Wiadomości Fotograficzne — Wilno.

— Gazeta Tygodniowa — Kielce.



Nigdy nie jest zapóźno myśleć o zdrowiu tem bardziej jeżeli cierpisz na

chorobę nerek, pęcherza, wątroby, kamieni żółciowych, złej przemiany materji, na bóle artretyczne, czy podagryczne, wzdęcie brzucha, odbijanie się lub skłonności do obstrukcji. — Pamiętaj, że nigdy nie będzie zapóźno, o ile używać będziesz ziół moczopędnych „DIUROL”, które zapobiegają nagromadzeniu się kwasu moczowego i innych szkodliwych dla zdrowia substancji, zatruwających organizm. — Dziś jeszcze kup pudełeczko ziół „DIUROL” a gdy przekonasz się o do datnich skutkach ich działania, zalecać będziesz swym znajomym. Sposób użycia na opakowaniu. Oryginalne „DIUROL” GAŚCECKIEGO (z kogutkiem) sprzedają apteki i składy apteczne.



Fabryka Frykotaryj
Jan Matuszewski
162, Marszałkowska 154
Chmielna 33, Nowy Świat 40
Marszałkowska 56

Farbiarnia i Pralnia W. MARKOWSKI

Chemiczna

Warszawa, Chmielna 43, telefon 257-00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Nowy Świat 26. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Lista rozrachunkowa urzędu pocztowego № 39.

Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja we czwartki, piątki i soboty od godziny 10-13 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11-1 pp.

tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.

Rękopisów redakcja nie zwraca

WARUNKI PRENUMERATY: Odb. na miejscu miesięcznie zł. 5. — Kw. zł. 13.50 gr., z odnosz. do domu mies. zł. 5.50 gr. kw. zł. 15. Zamiejscowa mies. zł. 6, kw. zł. 16.20 gr. Zagraniczna mies. zł. 8, kw. zł. 21.60 gr.

Każdy prenumeratorem otrzymuje co miesiąc cenne premium książkowe wartości księgarskiej 5 do 6 zł.

ŚWIAT FILMU

„Księżę X”

Roma

Istnieje specjalny rodzaj filmów, stwarzanych tylko po to, aby móc przedstawić na ekranie jakiegoś artystę, czy artystkę, specjalistów w pewnej dziedzinie sztuki. Scenariusz takiego filmu układany jest ze specjalnym uwzględnieniem umiejętności tego artysty, odtwórcy roli głównej, a wszystkie sytuacje tak dobrane, aby talent bohatera jaknajlepiej uwzględnić. Widywaliśmy wiele takich filmów, stworzonych specjalnie dla wszechświatowych sław śpiewaczy, jak Marta Eggerth i Jan Kiepura, Benjamino Gigli; były filmy specjalnie ułożone dla fenomenalnej pary tancerzy Ginger Rogers i Freda Astaira, a nawet mistrz Paderewski zgodził się na uwiecznienie jego wielkiego talentu na ekranie, w obrazie, do jego osoby dostosowanym. Przeważnie filmy te były doskonałe, a znaczenie (jeśli tak można się wyrazić) pedagogiczne miały ogromne. Udostępniały szaremu człowiekowi poznanie i zrozumienie wielkich talentów, zbliżały go do wielkiej sztuki, niezależnie od jej rodzaju, a co zatem idzie podnosiły poziom kultury i uczyły dobrego smaku tych, którzy w innej formie, bez-

Ginger Rogers i Adolf Menjou, którzy wystąpią w nowym filmie R. K. O. Radio „Stage Door” obok Katarzyny Hepburn



pośredniej, na takie obcowanie ze sztuką nie mogli sobie pozwolić.

Film z Sonią Henie należy do rzędu takich filmów specjalnych. Wprawdzie kunszt tej uroczej artystki nie należy do owej najbardziej „arystokratycznej” sztuki, pisanej przez wielkie S, ale w swoim rodzaju i zakresie jest to kunszt prawdziwy, wart, żeby go utrwalić na taśmie filmowej.

Czarodziejka taflí lodowej — to poprostu niezapomniane zjawisko. Żadne słowa zachwytu nie potrafią oddać tej lekkości i gracji, tego wrodzonego wdzięku i wielkiego poczucia rytmu, harmonji ruchu i linii, z jakim porusza się ona na lodzie. Zdaje się rzeczą nie do wiary, że ten fruwiący motyl jest kobietą żywą, z krwi i kości. Raczej już zgodzilibyśmy się, że to jakaś... wróżka motyli.

Film jest skonstruowany tak do wciwnie, że, mimo skromnej treści, trzyma uwagę widza cały czas w napięciu, gdyż Sonia nie schodzi prawie z ekranu, ukazując się nie tylko jako łyżwiarka, ale także jako miłośniczka jazdy na nartach. Ten sport opanowała ona również całkowicie.

Wśród śniegów, przepięknych widoków górskich i na wytwornych lodowiskach w międzynarodowym kurorcie toczy się akcja tego uroczonego filmu, akcja pełna życia, tempa, iskrzącego humoru, a nade wszystko tryskająca werwą

i urokiem wiosnianej młodości czolowej pary amantów.

Partnerem Sonii jest tutaj młodziutki gwiazdor Tyrone Power, miły, pełen wdzięku chłopiec, grający doskonale rolę młodego księcia, który jest „enfant terrible” w gronie otaczających go dostojników państwowych.

Pełen słońca, przestrzeni, śniegu i uroku zimy jest ten obraz, miły i niefrasobliwy, stworzony dla niezrównanej łyżwiarki, która swoim talentem i osobistym nieodpartym urokiem podbiła wszystkie serca na obu kontynentach.

Kto chce uradować oczy Sonią Henie, niech koniecznie ten film obejrzy.
H. D.

ZNANY OD LAT NATURALNY



PRZY
ARTRETYZMIE
REUMATYZMIE
SKLEROZIE



APTEKA MAZOWIECKA
MAZOWIECKAIO

Z MARKĄ OCHRONNĄ „FF”

PUDER



CHERYS
DOSKONAŁOŚĆ GATUNKU DECYDUJE

WYTWORNY
PUDER

GELOBIL
WARSZAWA

KREM
ODŻYWCZY

||| „OLLA-CRISTALLIN” to rewelacja! |||

ŚWIAT FILMU

PARTNERZY GRETY GARBO.

Do nielicznych, cenionych w Hollywood wyróżnień, należy jeszcze godność: „partner Greta Garbo“. Niewielu ludzi może się tym poszczycić.

Rozsiani są po całym świecie, ci wszyscy sławni kiedyś — lub może jeszcze dziś — gwiazdorzy pierwszej wielkości, którym sława przyniosła częściej rozczarowanie niż ziszczenie marzeń.

Pierwszym z nich był Ricardo Cortez...

On jeden mógł się pochwalić tym, że jego nazwisko na reklamach było umieszczane przed nazwiskiem Greta Garbo.

Ale tylko on jeden, bo następni, to już byli tylko — jej partnerzy.

Ricardo Cortez był bohaterem „Słowika hiszpańskiego“. Film ten mało kto zapewne pamięta.

Obecnie Cortez występuje w radjo. Jego sława już dawno przeszła okres szczytowy.

Płomiennym „caballero“ w „Kusicielce“ był Antonio Moreno, który później

Antoni Wohlbrück, znany z filmu „Królowa Wiktorja“, występuje obecnie w filmie „Secsur“, który niedługo ujrzymy na ekranach

Fot. R. K. O. Radio



bogato się ożenił, wybudował sobie pałacyk koło Hollywood, a jak fama niesie, obecnie walczy po stronie generała Franco w Hiszpanji.

Trzecim był — John Gilbert. Romantyczna aureola otacza nazwiska tych dwojga, którzy razem byli tylko na ekranie, a tak rzadko w życiu.

Plotkowano, mówiono, pisano, słyszano o ich flircie, romansie, ba! ślubie, aż

okazało się, że... Gilbert żeni się z Iną Claire, nieznaną nikomu aktoreczką.

John Gilbert umarł wkrótce. Ale w biurku jego znaleziono list zaadresowany do Greta Garbo. Treści tego listu nikt nie zna. Garbo jest skryta... D. N.



Ruth Chatterton, występuje w nowym filmie „Secsur“ wytwórni RKO Radio

Proszek od **BOLU GŁOWY**
DLA DOROSŁYCH ZE ZN. FABR.
KOWALSKINA
stosuje się również
PRZY PRZEZIEBIENIU GRYPIE I KATARZE

Miljony kobiet używa tylko

J&POŃSKI PUDER Z PUSZKIEM BEZ
cena zł. 1,25
w najmodniejszych kolorach
J. SZACH WARSZAWA

DANCING PARADIS NOWY-ŚWIAT 3

Program od 6 do 9-tej wiecz. i od 10 w. do 2-jej w nocy. W dni powszednie z wyjątkiem dni przedświątecznych, **ULGOWA KONSUMPCJA** po zł. 1.85 wyłącznie dla Gości przybywających między g. 10 a 11-tą wiecz., z prawem pozostania przez całą noc.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI.

Wydawca „ŚWIAT“ Spółka Wydawnicza z o. o.

Druk. W. Łazarski. Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA“, Żelazna 50a